

27 kwietnia 1983 roku członkowie organizacji partyjnej Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego spotkali się z członkiem Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarzem KL — **TADEUSZEM CZECHOWICZEM**. Rozmowa toczyła się wokół aktualnych problemów życia partii i kraju. Nie jest moim zamierzaniem pisanie relacji z tego spotkania, a tylko przedstawienie kilku refleksji, jakie się podczas niego zrodziły.

1. CZY MOŻLIWY JEST POWRÓT DO STARYCH METOD?

Tadeusz Czechowicz powiedział między innymi:

— Zgodnie z programem przyjętym na IX Nadzwyczajnym Zjeździe, który stanowi podstawową wytyczną naszego działania, chcemy być partią porozumienia i walki. Partia pragnie stabilizacji w życiu politycznym i gospodarczym, opowiadając się jednocześnie za reformami we wszystkich dziedzinach życia. Jest to nasz historyczny obowiązek. Z tych powodów, co musimy podkreślić, z całym naciskiem, powrót do starych metod postępowania i działania jest niemożliwy i nierealny.

Co to są stare metody? Różnie można je określać. Ich istota polega na tym, że stosowane w praktyce muszą nieuchronnie doprowadzić do konfliktu, a w jego wyniku do kolejnego kryzysu. Ich źródło tkwi bowiem w oderwaniu się od klasy robotniczej, od społeczeństwa, w zaniedbaniu spełniania służebnej roli wobec narodu, zaprzestaniu reprezentowania interesów klasy robotniczej, w odejściu od podstawowych zasad marksizmu-leninizmu. Można to nazywać arogancją władzy, administrowaniem i dyrygowaniem, dominacją aparatu partyjnego i państwowego nad organami wybieralnymi i samorządowymi. Rzecz jest nie w nazywaniu tych zjawisk, ale w ich istocie — utracie klasowego punktu widzenia.

Tu i ówdzie słyszy się czasem coraz głośniejsze podnoszone zarzuty, że wszazek wraca w stare koleiny. Nie przeczę, że takie tendencje i zjawiska mogą występować. Przyzwyczajenie jest bowiem często silniejsze od dobrej woli, a ludzie w trudnych sytuacjach nieświadomie nawet gotowi są sięgnąć do metod wypróbowanych, choć nie zawsze skutecznych, albo skutecznym tylko pozornie, a w gruncie rzeczy szkodliwych. Wszakże ten zarzut powracania do starych metod formułowany jest najczęściej pod adresem aparatu partyjnego i instancji państwowych, czyli na ogół odnoszony jest do „góry”. A ja chciałbym zwrócić uwagę również na zjawisko odwrotne, na chęć powrotu do starych metod, ujawniane w „dołach”. I nie wiem, czy przypadkiem to zjawisko nie jest groźniejsze.

Otóż powrót do starych metod działania i postępowania zarówno w partii, jak w administracji szeroko rozumianej, jest obiektywnie niemożliwy, gdyż w przeciwnym wypadku byłoby to początek kolejnego kryzysu, a tego nikt przecież nie chce. IX Zjazd PZPR uchwalił powołanie specjalnej komisji, która zbadalaby źródła kryzysów, aby można było ich w przyszłości uniknąć — aby się nigdy nie powtórzyły. Żeby jednak ta obiektywna konieczność mogła stać się rzeczywistością, musi być spełnionych kilka warunków. Przede wszystkim dwa: pierwszy, kiedy organy wybieralne należycie spełniają swoje funkcje, tak że nie musi ich zastępować aparat pomocniczy i służebny, po drugie — że dobrze działają mechanizmy konsultacyjne, pozwalające należycie trafić za decyzjami i kontrolne, sprawdzające ich realizację.

Na wspomnianym spotkaniu usłyszałem kilka istotnych pytań:

— czy słusznie państwo wyrzekło się funkcji regulujących,

— dlaczego nie posiadamy utrwalonej w społecznej świadomości hierarchii wartości i potrzeb,

— dlaczego na przykład nie ma gradacji plac i kierowca zarabia więcej niż profesor wyższej uczelni,

— dlaczego przemysł nie podjął się produkcji na potrzeby rolnictwa, choć taka potrzeba istnieje i bez szerszego zaspokajania potrzeb rolnictwa nie potrafimy się wyżywić,

— dlaczego nie ma dyskusji ideologicznych... Zanotowałem tylko niektóre i przytaczam je w określonym celu. Niepokoi mnie bowiem zwrot, jaki się dokonuje w społecznej świadomości, zwrot, który też jest powrotem do starych metod działania, postępowania i... myślenia. A wyraża się on w tym, że kiedyś gromkim głosem wołano o samodzielność, a dziś coraz śmielej niektórzy zaczynają domagać się wyręczenia ich przez organy państwowe lub przez partyjną „góre”.

2. CZY WSZYSCY MOGĄ ZARABIAĆ TAK SAMO!

Nikt nie ukrywa, że mamy potwornie zabażniony system plac. Pierwsza próba reformy tego systemu nie powiodła się. Pódejrzałbym, że nie powiedzie się i następna. Skąd mój sceptycyzm? Stąd że aby uporządkować system plac w Polsce trzeba przede wszystkim odebrać latami narosłe przywileje. A ludzie bardzo nie lubią, jak coś się im odbiera. Poza tym, żeby w jakiegokolwiek sprawie dojść do porozumienia potrzebny jest partner, a takim partnerem mogą być związki zawodowe. Sporo jeszcze musi minąć czasu nim związki zawodowe staną się takim partnerem. Przez ten czas dojrzejcie czekające uchwalenia kolejne karty różnych grup zawodowych, czyli narosnie nam dalej garb przywilejów. Regulowanie jakiegokolwiek plac możliwe będzie tylko przez dodawanie do poziomu tych, którzy mają już i tak sporo, co w warunkach kryzysu równoznaczne jest ze wzrostem inflacji. To zmusi ministra Zdzisława Krasńskiego do regulowania jego uszczelki, a tego nikt nie lubi.

Ludzie chcieliby na przykład, aby wszyscy ślusarze tej samej grupy w całym kraju zarabiali tyle samo. A to jest sprzeczne z zasadami reformy. Tak też uczestnikom Krajowej Rady Aktywu Robotniczego odpowiadał na

lamach „Trybuny Ludu” wiceminister Krzysztof Górski:

„Zgodnie z założeniem reformy gospodarczej powinno być... tak, że ludzie pracujący w przedsiębiorstwie osiągają dobre wyniki ekonomiczne powinni zarabiać znacznie więcej, niż tam, gdzie gorzej gospodarzą”.

Ale wiele przedsiębiorstw nie dorosło jeszcze do samodzielności, nie potrafi, nie umie, bo się wykorzystac do mechanizmów, które daje im reforma. Często zresztą boją się tego też jednostki nadrzędne, które bardzo chciałyby powrócić do roli dawnych zjednoczeń, przyciągając w swoje ręce pełnię decyzji i z samorządu pracowniczego oraz samodzielności przedsiębiorstw uczynić li tylko fasadę. Reforma postępuje i będzie postępowała mimo licznych barier i przeszkód. Jest ona bowiem szansą wyjścia z kryzysu i przeciwdziałania kryzysom. Ale to jest proces.

Tu muszę wyjaśnić, co to jest „uszczelka Krasńskiego”? Otóż na spotkaniu w Ośrodku Kształcenia Ideologicznego w Warszawie z aktywistami robotniczymi prof. Zdzisław Krasński mówił obrazowo o trzech uszczelkach, które zapewniają sprawność organizmu gospodarczego państwa i równowagę rynkową. Pierwsza tkwi w przedsiębiorstwie i powoduje, że w wyniku niegospodarności, szastania pieniędzmi przedsiębiorstwo... bankrutuje. Druga — wyraża się stosunkiem między przedsiębiorstwem i pracownikiem i przybiera postać podatku wyrównawczego. Taki podatek funkcjonuje na całym świecie. Im więcej zarabiasz, tym więcej płacisz dla państwa. Ten podatek powinien być

Czy można zmienić rzeczywistość starymi metodami?

LUCIUSZ WŁODKOWSKI

tak ustawić, żeby i tobie się opłacało, i państwo coś z tego miało. Trzecia uszczelka — to cenny.

— U nas — powiedział Zdzisław Krasński — tylko ta jedna działa sprawnie.

A powini być wszyscy trzej. I reforma musi do tego doprowadzić. Wszelkie więc działania, aby państwo uporządkowało sprawy cen i plac są nierealne, bo ono może tylko stworzyć określone ramy dla plac i cen, a reszta zależy już od sprawności działania mechanizmów ekonomicznych. Tylko, że działanie w ramach tych mechanizmów jest... niebezpieczne. Kiedy nasze działanie zastępuje państwo, to wszystko później można zwałić na rząd, wojewodów, administrację i krótko mówiąc — „góre”. Kiedy to jednak my ponosimy odpowiedzialność, wtedy nie ma na kogo zwałić winy, tylko trzeba samemu odpowiadać, a to może być nieprzyjemne i niebezpieczne.

Sądzę również, że sprawność działania mechanizmów ekonomicznych przyczyni się do uregulowania systemu plac również w takich dziedzinach jak oświata, nauka, kultura, które — jak wiadomo — muszą być dofinansowywane z budżetu państwa, a inne działy gospodarki ten budżet muszą zapełniać dochodami.

Przebieg reformy spotyka się z wieloma krytycznymi uwagami. Są one wielokrotnie słuszne, jako że i reforma nie przebiega — bo i nie może — bez przeszkód, zahamowań i niekonsekwencji. Ale trzeba pamiętać, że proces ubież-własnowolnienia gospodarki przebiegał latami i teraz trzeba czasu, aby wszyscy dostatecznie dobrze nauczyli się samodzielności. Nauczyl się właściciele posługiwali tymi instrumentami, które daje im do rąk reforma. Nauczyl się też nowych metod działania i postępowania, a także nowego sposobu myślenia. Sądzę, że wielu ludzi już się tego w ogóle nie nauczy, że będzie musiało przedrzeć czy później ustąpić miejsca swoim następcom. Zresztą, gdyby dobrze rozjeździć się po kadrach w niektórych dziedzinach administracji państwowej i w aparacie partyjnym, to przecież w ostatnich latach dokonali się zasadnicze zmiany. Obawiano się nawet, że wielu nowych ludzi, bez rutyny i doświadczenia, nie podoła skomplikowanemu zadaniom. Ale jakoś podołali. I zdobyli już doświadczenia, oby tylko nie popadli w rutynę.

3. CZY NIE POTRZEBA NAM DYSKUSJI!

Na pytanie to należy odpowiedzieć pozytywnie, choć tu i ówdzie słychać głosy, że dość już mamy dyskusji, że trzeba wreszcie wziąć się do solidnej pracy. I tu chciałbym powołać się na fragment wypowiedzi Tadeusza Czechowicza ze wspomnianego spotkania na Wydziale Filologicznym UL. Powiedział on wówczas:

— Nie ukrywamy, że w naszym działaniu spotykamy się z szeregiem kłopotów. Przede wszystkim mamy do czynienia z obojętnym stosunkiem dużej części społeczeństwa do spraw polityki i zagadnień ogólnonarodowych. Trzeba sobie też otwarcie powiedzieć, że mimo różnych pozytywnych przemian i zjawisk społecznych, świadomość ekonomiczna i państwowa naszego społeczeństwa nie jest na wysokim poziomie. Często taką czy inną decyzję komentuje się jako złą lub dobrą wolę rządzących.

Po prostu często nie rozumie się obiektywnych uwarunkowań takich czy innych decyzji. Być może rządzący nie zawsze dokładnie i przekonująco je prezentują, ale to i tak nie zmienia obrazu rzeczywistości. Cechuje nas zniecierpliwienie i zmęczenie. Zniecierpliwienie, że ciągle jeszcze tkwimy w okowach kryzysu, mimo podejmowanych bądź zapoczątkowanych reform, a zmęczenie, że to wszystko tak długo się ciągnie i wzrost towarów na rynku następuje prawie niezauważalnie i to na ogół poprzez wzrost cen. W tej sytuacji mówić o potrzebie rzetelnej pracy jest prawie nieprzystojnością. Ale to nie zmienia podstawowej prawdy, że samo nic się nie robi.

Jeżeli więc zrodziło się pytanie o dyskusję, to trzeba powiedzieć, że nie stanowią one — a przynajmniej nie powinny stanowić — przeciwstawienia. Nie ma takiego wyboru: albo dyskutujemy, albo pracujemy. Jest natomiast silna potrzeba rzetelnego, mądrego przygotowania decyzji — i to jest sfera dyskusji — i dyscypliny przy ich wykonywaniu — i to jest sfera pracy. Bez wzajemnej zależności między tymi sferami niewiele uda się nam zrobić. Jest to tak oczywiste, aż banalne.

Do przedyskutowania jest wiele spraw. Żeby jednak trzymać się spotkania na Wydziale Filologicznym UL powołam się znów na wypowiedź Tadeusza Czechowicza:

— Partia nie istnieje sama dla siebie, ona ma spełniać służebną rolę wobec swojej klasy, wobec społeczeństwa. Dlatego musi ulec zmianie wiele form i metod pracy partii. Dlatego też należy kontynuować dialog z wszystkimi, którzy stoją na gruncie patriotyzmu i socjalistycznej przyszłości Polski. Trzeba rozszerzać zakres ludowości. Stwarzać warunki dla umacniania się sojuszniczych stronnictw i organizacji, bo potrzebni partii są partnerzy.

Pytanie zgłoszone na tym spotkaniu dotyczyło przyczyn braku dyskusji. Są problemy do przedyskutowania, a nie ma dyskusji. Kiedy partia dyskutowała nad projektem Deklaracji programowo-ideowej, było ożywienie ideologiczne, teraz go nie ma. Dlaczego?

Przyczyny są bardzo różne. Jedną z nich jest jednak chęć powrotu do starych metod pracy i działania. I to wcale nie ze strony „góry” partyjnej, a przeciwnie. Otóż wiadomo wszystkim, że przygotowywane jest plenarne posiedzenie KC PZPR poświęcone sprawom ideologicznym. Na tym posiedzeniu ma też być przyjęta nowa, poprawiona wersja Deklaracji ideowo-programowej PZPR. Ale termin tego posiedzenia KC ciągle nie jest sprecyzowany. Ciągłe mówi się, że będzie, ale dokładnie nie wiadomo kiedy. Wiele organizacji, wielu działaczy i aktywistów woli w tej sytuacji nie wypowiadać się, oczekując, że sprawy zostaną rozstrzygnięte w dokumentach plenarnego posiedzenia i wtedy wszystko będzie jasne. Odżywa więc tęsknota do rozstrzygnięcia za nas, mimo że nie tak dawno wołano wielkim głosem o samodzielność organizacji partyjnych, o potrzebę intelektualnego fermentu, poszukiwań własnych rozwiązań zgodnych z dialektyką z marksizmem-leninizmem.

Z drugiej strony występuje zjawisko braku analizowania rzeczywistości, tylko przykładania do niej idealnych wzorców. Pasuje — pięknie, osiągnęliśmy właściwy etap rozwoju. Nie pasuje — kłeska, wszystko się wali. Ta metoda nie ma nic wspólnego z dialektyką, nie ma nic wspólnego z marksizmem. Dialektyka zakłada bowiem analizowanie rzeczywistości w rozwoju, we wzajemnej współzależności, w uwarunkowaniach, a odrzuca przykładanie jakiegokolwiek miar i wzorców.

Jedni więc mówią na przykład: — w partii następuje proces konsolidacji — i mają rację, choć nie wnioskują w istotne zjawiska, drudzy mówią: — proces konsolidacji jest niedostateczny — i przykładają do rzeczywistości miarę własnych pragnień, niczego nie analizują i dlatego odczuwają rozczarowanie. Pytanie natomiast powinno brzmieć: — czy osiągnęliśmy maksimum tego, ile można było osiągnąć w określonych warunkach? I to pytanie może być miarą naszej pracy.

Niedawno w „Polityce” Ludwik Krasucki w artykule „Nie taka sama” napisał o wnioskach wynikających z kampanii sprawozdawczej.

„Odrzucony został wariant zarówno partii negocjującej, jak i partii potakującej. Opowiedziano się za partią mocno osadzoną w klasowej rzeczywistości z jej problemami i sprzecznościami, odbierającą i przekształcającą płynące z niej impulsy, nazywającą sprawy po imieniu, za partią wczesnego ostrzegania, obiektywnej oceny ludzi i pozytywnej selekcji kadrowej. Za partią jednolitą ideowo i wymagającą moralnie, skupioną wokół obowiązującej wszystkich linii generalnej, w najlepszym sensie tego słowa sterowną. Za partią, w której samodzielność i inicjatywa łączą się z przeciwdziałaniem zagrażającym zewsząd partykularyzmem”.

Opowiedziano się za taką partią, a więc nie przyłożono ideału do rzeczywistości, ale nakreślono cel, do którego wszyscy powinniśmy uparcie dążyć. I ci na „dole” i ci na „górze”, na każdym szczeblu, choć przeciwny jestem takim podziałom, a używam ich tylko dlatego, że nadal funkcjonują w społecznej świadomości. Odpowiedzialność za taką partię powinni ponosić wszyscy bez wyjątku.

Taka właśnie partia, twardo stojąca na gruncie marksizmu-leninizmu, posługująca się umiejętnie dialektyką w poznawaniu i ocenianiu rzeczywistości może w pełni sprawować kierowniczą i przewodnią rolę. Ale osiągnąć taki poziom świadomości w partii i umiejętności pełnego spełnienia roli kierowniczej i przewodniej przez wszystkie organizacje, a nie tylko przez instancje, nie będzie możliwe przy stosowaniu starych metod. Niezbędne więc są nowe. I dążyć do tego powinni wszyscy, a nie czekać, że ktoś za nich to zrobi.

Trzeba mieć nadzieję

Jesteśmy wciąż na początku drogi. Nękani skutkami kryzysu, targani wątpliwościami, zniechęceni świadomością zmarnowanego, trwonionego nieraz już w przeszłości entuzjazmu. Ruch, który niedawno ukonstytuował się na swoim I Kongresie, ruch ten, podobnie jak cały skomplikowany proces odradzania się woli narodu i odnowy życia społeczno-politycznego, jest dopiero u swojego zarania. Zepsuć, wypaczyć, znieczyścić wysiłek, rozhuścić nastroje społeczne, przyszło swego czasu łatwo. Odbudować, odrodzić normalny, sprawny puls życia społecznego i przywrócić zaufanie narodu będzie już rzeczą o wiele trudniejszą. Ale przysłowiowych jaskótek życia nowego, lepszego trudno już nie postrzegać, chociaż do pełnej wsiady, do pełnej normalizacji i normalności życia w naszym kraju jeszcze daleko. Jest jednak już nadzieja...

Swoim rodowodem PRON, jak wspominał o tym w referacie TRK prof. dr Jan Kostrzewski, sięga do demokratycznych i postępowych tradycji Konstytucji 3 Maja. Ale także do źródeł polskiej rewolucji ludowo-demokratycznej, do Manifestu PKWN, który był pierwszym drogowskazem na polskiej drodze do socjalizmu, a z której zepchnęły nas błędy, wypaczenia i woluntaryzm fałszywych proroków. Odwołuje się także nowy ruch do dni słusznego, robotniczego protestu, do tragicznych, polskich miesięcy: czerweca, grudnia i sierpnia. Nawołuje o potrzebę pełnego rozliczenia się z przeszłością i sprawiedliwego osądzenia winnych. Nie sposób bowiem kląć nowych elewacji na ścianach drążonych grzybem moralnego zepsucia. Należy sięgając do źródeł mieć wciąż w pamięci przyczyny naszych kryzysów, załamań, wzlotów i upadków.

Trzeba jednak nade wszystko patrzeć w przyszłość. Ruch odrodzenia narodowego, jak to podkreślono już niejednokrotnie, nie może być „przejściowym zjawiskiem stanu wojennego i czasu wyprowadzania kraju z kryzysu”. Ma być całkiem nowym, trwałym zjawiskiem politycznym w Polsce — płaszczyzną wielowokłowego dialogu w łonie skłóconego wciąż społeczeństwa i pomostem między tymże społeczeństwem a władzą. Ma być instytucjonalną gwarancją demokracji, praworządności, pokoju społecznego i światopoglądowego pluralizmu.

Gwarancją wyżej sformułowanych nadziei winno być z jednej strony — dokonanie niezbędного, konstytucyjnego zapisu o miejscu PRON w życiu politycznym oraz udzielenie ruchowi ustawowych uprawnień, które pozwoliłyby PRON spełnić deklarowaną rolę. Z drugiej strony, owe formalno-prawne gwarancje musi wspierać społeczna akceptacja, poparcie, aktywny udział. Tylko ruch masowy ma szansę być społeczną siłą. Tymczasem stosunek ludzi do nowego ruchu jest różny: pelen rezerwy, a nawet wrogości, obwarowany licznymi wątpliwościami. Coraz więcej jest jednak tych, którzy pokładają w nim jeszcze małe, ale już leżące się nadzieje.

Zyczenia i oczekiwania społeczne są rozmaite. Poczynając od widzenia PRON jako sojusznika, pomocnika w rozwiązywaniu codziennych, kłopotliwych trudności, po „instytucję” gwarantującą pragnienia największe, a w świadomości narodowej należne: społeczny ład i sprawiedliwość, demokrację i kontrolę po to, aby nasza droga, polska droga do socjalizmu była już wolna od nowych „zakrętów” i zawirowań.

Inne są tu i ówdzie zyczenia administracji i biurokracji. Niektórzy urzędnicy, działacze chcieliby widzieć w nowym ruchu „dyspozycyjny odłam społeczeństwa”, swoiste przedłużenie władzy, naiwnego „wyręczyciela”. Tych zyczeń PRON spełnić nie może, jeśli władza i społeczeństwo, jeśli my wszyscy chcemy mieć nadzieję na lepszą, wolną od błędów i wypaczeń przyszłość. A myślę, że Polacy mają wciąż taką szansę, mamy szansę na odbicie się od dna. Nie jesteśmy skazani, przez historię na to, aby wlec się w światowym ogniu. Dopóki tak jest, dopóty szansy tej marnować nam nie wolno. Odpowiadamy za to wszyscy!

Pisał kiedyś, przed laty poeta:
„Jesteśmy w polu drogi. Droga /pedzi z nami bez wytchnienia. Chciałbym i mój ślad na drogach/ ocalić od zapomnienia”.

Myślę, iż wszyscy dziś mamy podobne pragnienia, marzenia. Rzecz jedynie w tym, jak je zjednoczyć, jak z marzeń, skrywanej jeszcze woli zrodzić nowy, wielki czyn? Jak pragnienia te pozyskać dla wspólnej wszystkim Polakom drogi? Co uczynić, aby powtarzane jednak za poetą słowa miały dla nas jednakowy sens?

KAROL JÓZEF STRYJSKI

O czym najchętniej rozmawiamy ze znajomymi? Przede wszystkim o wielkiej i mniejszej polityce, a zaraz potem — o pracy: że balagan organizacyjny, brak tego lub owego, że dyrektor „ma oko” na parnę Zosię, więc ostatnio awansowała, choć był lepszy od niej oraz na Kowalskiego, który dostał przez to upomnienie. Nie zawsze jednak narzekamy i plotkujemy. Bywa i tak, że z dużym zapamiętaniem opowiadamy o nowym temacie, nad którym właśnie pracuje nasz zespół, o niezwykłym udanym modelu, który już w najbliższych tygodniach wejdzie do produkcji. Zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku często zdarza się, że przekazujemy w ten sposób naszym rozmówcom wiadomości, które w żadnym razie nie powinny być rozpowszechniane.

Dzieje się tak na ogół bez ziew woli opowiadającego, który po prostu nie zdaje sobie sprawy, że narusza tajemnicę, niekiedy działając na szkodę swego zakładu lub współpracowników, a już z pewnością bardzo szkodliwie, gdyż ktoś ze słuchających zwrócił mu uwagę, że i tam w ten sposób konstytucyjny obowiązek ochrony tajemnicy państwowej i służbowej.

Co to właściwie jest tajemnica służbowa, o jakich sprawach związanych z naszą pracą możemy bez przeszkód rozmawiać ze wszystkimi, a o jakich mówić nie powinniśmy, kto o tym decyduje — rozmawiam na ten temat z dr JACKIEM RZĄDKOWSKIM, zastępcą prokuratora wojewódzkiego m. Łodzi.

— Czy ta ustawa była potrzebna? Przecież i dotychczas istniały przepisy, normujące w jakiś sposób sprawy związane z poszanowaniem tajemnicy państwowej i służbowej, kodeks karny przewidywał sankcje za ich nieprzebranie.

— Ustawa była potrzebna. Z jednej strony bowiem przepisy, obowiązujące dotychczas, były mało precyzyjne, nie wynikało z nich w sposób jednoznaczny,

co właściwie stanowi tę tajemnicę. Osoba, której zarzucono nieprzebranie jej mogła tłumaczyć się po prostu niewiedzą i — często nie był to tylko wykręt, lecz rzeczywista niewiedza. Z drugiej strony, jak stwierdzano podczas każdej kontroli, a nawet pobieżnej obserwacji, we wszystkich niemal instytucjach panował spory bałagan. Na wierzchu, praktycznie dostępne dla każdego, poniewierali się akta, pieczątki, klucze, dokumenty, nawet opatrzone napisem „poufne” czy „do użytku wewnętrznego”. Należało sądzić, że nowa ustawa pozwoli na skuteczniejsze niż dotychczas uregulowanie tych wszystkich spraw.

— Ustawa mówi o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej. W odniesieniu do tej pierwszej przepisy wydają się jasne. W art. 2 czytamy: „Tajemnicą państwową jest wiadomość, której ujawnienie osobom nieupoważnionym może narazić na szkodę obronność, bezpieczeństwo lub inny ważny interes Państwa” i dalej wymienione są kolejno wszystkie rodzaje takich wiadomości. W odniesieniu do tajemnicy służbowej zapis jest daleko mniej precyzyjny. Art. 3 mówi: „Tajemnicą służbową jest wiadomość nie stanowiąca tajemnicy państwowej, z którą pracownik zapoznał się w związku z pełnieniem swoich obowiązków, w państwowej, spółdzielczej lub społecznej jednostce organizacyjnej, a której ujawnienie może narazić na szkodę interes społeczny, uzasadniony interes tej jednostki organizacyjnej lub obywatela”.

Z takiego zapisu — w zależności od interpretacji — może wynikać bardzo dużo możliwości: od stwierdzenia, że wszystkie informacje dotyczące zakładu pracy są tajemnicą, aż do przekonania, że żadna nią nie jest, bo przecież jej ujawnienie nie spowoduje np. dużych strat finansowych. Praktycznie więc, po przeczytaniu tego zapisu przeciętny pracownik jest tak samo mądry, jak przedtem.

Propozycja „Odgłosów” Pytanie do specjalisty

Co to jest tajemnica służbowa?

Rozmowa z dr JACKIEM RZĄDKOWSKIM,
zastępcą prokuratora wojewódzkiego w Łodzi.

Od lipca 1983 roku wchodzi w życie ustawa „o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej”. Nasz Czytelnik — Kazimierz Malinowski ze Zgierza zwrócił się z prośbą, aby ktoś z prawników wyjaśnił pojęcie tajemnicy służbowej. W jego zakładzie pracy doszło już do nieporozumienia na tym tle i jeden z pracowników miał poważne nieprzyjemności tylko dlatego, że powiedział o planowanych zmianach kadrowych, nie zdając sobie sprawy, że mogą one stanowić tajemnicę służbową.

— Precyzyjne określenie w ustawie, co stanowi tajemnicę służbową, byłoby niemożliwe. Zależy to od wielu czynników, różnych dla poszczególnych jednostek organizacyjnych. Gdyby więc spróbować określić to centralnie — wykaz byłby zbyt ogólnikowy, nie wyczerpujący wszystkich przypadków. Sprawy rozwiązano inaczej, nakładając na kierowników jednostek organizacyjnych obowiązek ustalenia wykazów rodzajów wiadomości, które — w przypadku tej jednostki — stanowić będą tajemnicę służbową.

— Czy ich uprawnienia w tym zakresie będą nieograniczone, na jakiej podstawie mają decydować, czy dana wiadomość jest lub nie jest tajemnicą?

— Kierując się interesem jednostki organizacyjnej i jej pracowników, kierownik znający całokształt działania pod-

legającej mu jednostki, najlepiej orientuje się w tych sprawach, sporządzi więc wykaz informacji stanowiących tajemnicę służbową, w oparciu o swą wiedzę i doświadczenie zawodowe.

— Kierownicy są różni. Może więc trafić się „nadgorliwy”, który uzna, że wszystko, co dzieje się w instytucji jest tajemnicą. Byłoby dziwne, gdyby zastosowali się do tego pracownicy.

— Posługując się danymi, zawierającymi elementy oceny (np. czy dany rodzaj informacji może, w przypadku ujawnienia, narazić na szkodę interes społeczny czy interes zakładu) jest zawsze trudne. Trzeba jednak założyć, że kierownicy jednostek organizacyjnych nie są pozbawieni zdrowego rozsądku i przystąpią do tego w sposób prawidłowy, odpowiadający interesom zakładu. Nie sposób przyjąć, aby tajemnicą było wszystko, choć moim zdaniem,

w obecnej sytuacji gospodarczej i społecznej powinna tu być stosowana interpretacja rozszerzająca: im mniej informacji, zdobytych w związku z pełnieniem określonej funkcji, będzie rozpowszechnianych, tym lepiej.

— Dotychczas osoba podejmująca pracę podpisywała odpowiednie oświadczenie, w którym zobowiązywała się do przestrzegania tajemnicy. Czy w tym zakresie coś się zmieni?

— Zmieni się o tyle, że przed podpisaniem każdy będzie musiał zapoznać się z wykazem wiadomości stanowiących tajemnicę. W przypadkach spornych nie będzie więc możliwości tłumaczenia, że „nie wiedziałem”.

— Może się jednak zdarzyć, że zdaniem kogoś z zatrudnionych, właśnie zachowanie w tajemnicy jakiegoś faktu, o którym dowiedział się w związku z wykonywaniem pracy (np. projektowanej decyzji dotyczącej spraw kadrowych) będzie stanowić zagrożenie interesu społecznego. Co wtedy? Zlekceważony przepis?

— Takie sytuacje mogą zaistnieć. W wykazie, sporządzonym przez kierownika może zdarzyć się zapis sprzeczny z zdrowym rozsądkiem lub też generalnie słuszny, lecz w jakiejś konkretnej, trudnej do przewidzenia sytuacji niemożliwy lub niewskazany do zachowania w tajemnicy. Nie oznacza to jednak, że trzeba zignorować przepis. Istnieje możliwość odwołania się do jednostki nadrzędnej, upoważnionej do kontroli także i w tym zakresie.

— Z ustawy wynika, że z wiadomościami, stanowiącymi tajemnicę służbową mają być zapoznawani tylko pracownicy danej jednostki organizacyjnej i tylko w zakresie niezbędnym do wykonywania swych obowiązków. I tutaj wchodzi na „prywatne” podwórko. Wydaje się, że w związku z nową ustawą, dziennikarze, znajdzie-my się w trudnej sytuacji, spotykając się z częstymi odmowami udzielania informacji, ar-

gumentowanymi koniecznością zachowania tajemnicy.

— Ustawa przewiduje, że z wiadomościami objętymi tajemnicą mogą być w szczególnych przypadkach zapoznawane także osoby nie zatrudnione w danym zakładzie. Muszą one jednak spełniać określone warunki: m.in. dawać rękojmię zachowania tajemnicy, i, niestety, dziennikarz taką osobą nie jest. Chociaż prywatnie może być człowiekiem jak najbardziej zasługującym na zaufanie — wykonując swe obowiązki służbowe zbiera przecież informacje po to, aby je później opublikować. Tajemnicę więc raczej nie należy mu powierzać.

— Będziemy więc mogli piisać tylko o tych sprawach, o których zechce nam powiedzieć dyrektor? Trudno spodziewać się, aby dobrowolnie ujawniali fakty świadczące o jakichkolwiek nieprawnidłowościach w swoim zakładzie?

— Podobnie jak w przypadku sprawy spornej z pracownikiem zakładu — będzie można zwrócić się do jednostki nadrzędnej, która może wyrazić zgodę na zapoznanie dziennikarza z niektórymi danymi objętymi tajemnicą. Decyzję w tej sprawie może podjąć również dyrektor, zastrzegając równocześnie, że przekazane przez niego informacje stanowią tajemnicę, nie mogą więc zostać opublikowane, a zainteresowany zapozna się z nimi jedynie dla lepszego rozeznania w interesującym go temacie. Ponieważ jednak będą to sprawy zależne od dobrej woli kierownika jednostki — mogą powstać pewne perturbacje...

— Na szczęście wkrótce wejdzie w życie nowa ustawa prasowa, która, jak sądzę, dostarczy nam argumentów do dyskusji z tymi, którym dobrej woli zabraknie i — mimo nowych przepisów o tajemnicy — pozwoli pracować co najmniej tak, jak dotychczas.

Rozmawiała:
**TERESA
JERZYKOWSKA**

Religia a moralność

EDMUND LEWANDOWSKI

Moralnością nazywa się ukształtowany historycznie zespół norm i ocen regulujących postępowanie ludzi. Zalicza się tu zakazy, nakazy i zalecenia oraz pewien system wartości. Trzeba jednak odróżniać moralność od obyczajowości. O ile obyczaje stosowane są bez głębszej refleksji, w sposób niejako rutynowy, to moralność zakłada momenty zastanowienia i osądu w kategoriach dobra i zła. Toteż filozofowie słusznie wiążą obyczajowość do bytu społecznego, zaś moralność do świadomości społecznej. W obu przypadkach zachowania wymuszane są przez społeczeństwo, ale w moralności czynnikami rozstrzygającym jest zawsze sumienie. W apokryficznym Testamentie Judy mądry autor napisał:

„Wiedziecie, że dwa duchy przebywają w człowieku — duch prawdy i duch błędu, a między nimi — sumienie, by skłonić go tam, gdzie on zechce”.

Moralność związana jest z prawem i religią, które zwykle dodatkowo ją umacniają. Przy czym prawo obejmuje tylko te normy, które zostały ustanowione przez państwo i są przez nie egzekwowane pod groźbą przemocy. Natomiast religia wprowadza element sankcji nadprzyrodzonej. Na przykład wyznawcy judaizmu i chrześcijaństwa przyjmują, że dziesięcioro przykazań otrzymał Mojżesz od samego Boga. Podobnie w XVIII wieku p.n.e. obywatela babilończy wierzyli, że ich kodeks prawny podarował im Hammurabi bóg Szamasz.

Istnieje dość powszechny pogląd że gdyby zanikła wiara w Boga, to w ślad za tym upadłaby moralność. Jeśli nie ma Boga — powiedział Fiodor Dostojewski — w takim razie wszystko wolno. Pragnienie nagrody w niebie i strach przed piekłem mają więc powstrzymać przed złymi postępkami. Niektórzy głoszą, że ateizm jest źródłem wszelkich nieprawości, religia zaś stanowi jedyną gwarancję moralności. Niestety, jest to pobożne życzenie, nie mające pokrycia w faktach. Historia chrześcijaństwa pokazuje przecież dobitnie, iż duża religijność zupełnie dobrze godziło na równie wielką deprawację. Bertrand Russell pisał na ten temat:

„Można skonstatować ciekawy fakt, że im intensywniejsza była religijność danego okresu, im głębsza wiara w dogmat, tym większe było okrucieństwo i tym gorszy ogólny stan rzeczy”.

A dalej, po przypomnieniu okrucieństw inkwizycji i aktów palenia czarownic, stwierdził co następuje:

„Oświadczać do dojrzałym namyśle, że religia chrześcijańska w postaci, jaką jej nadały Kościoły, była i jest głównym nieprzyjacielem moralnego postępu świata”.

Ponieważ trudno posądzając uczonego angielskiego, laureata Nagrody Nobla, o stronniczość lub nierozważne konkluzje warto bliżej przyjrzyć się zagadnieniu.

Popularny bohater Anatola France'a, mądry profesor Lucjan Bergeret, mówił do doktora Fornerola:

„Jak można idee religijne uważać za umoralniające, kiedy widzimy, że dzieje narodów chrześcijańskich utkane są z wojen, morderstw i meczarni? Nie przypuszcza pan chyba, żeby gdziekolwiek było więcej pobożności, niż było jej w klasztorach? Je-

dnak wszystkie gatunki mnichów, białych, czarnych, srokatech czy brunatnych, splamiły się najohydniejszymi zbrodniami. Zarówno podopry inkwizycji, jak i proboszczowie Ligii byli i pobożni, i okrutni. Nie mówię już o papieżach, którzy topili świat w krwi, bo nie jest pewne, czy wierzyli w życie przysięgłe”.

Każdy, znając historię musi obiektywnie przyznać, że Bergeret ma sporo racji.

Kościół sprawował przewodnią i kierowniczą rolę w społeczeństwie feudalnym. Trwało to przez tysiąc lat. Państwa obozu chrześcijańskiego były wtedy podporządkowane jego ideologii i centralnie sterowane z Rzymu. I co z tego wynikało? Otóż panowała nieprawdopodobna wprost demoralizacja wśród samych funkcjonariuszy kościelnych, a przykład szedł z góry — od papieży, kardynałów i biskupów. Na synodzie w Reims w 991 roku, biskup orleański Arnulf dokonał oceny niektórych ówczesnych papieży. O Janie XII powiedział, że „żył w hańbie rozpusty”. O Bonifacym VII, iż był to „straszliwy potwór, najbardziej nikczemny ze wszystkich ludzi”. I następnie zadał on dramatyczne pytanie: dlaczego takim występny i złym dostojnikom mają podlegać wszyscy kapłani? Sprawy później zaszyły aż tak daleko, że w 1032 r. wybrano papieżem 12-letniego chłopca i to w dodatku zdeprawowanego. Historyk chrześcijański z zażenowaniem pisze, iż Benedykt IX „wyświęcony w dwunastym roku i już nieobyczajny, narobił tyle skandali, że zgorzchny tłum rzymski w końcu go wygnął”.

Jak wiadomo, trzynaste stulecie uchodzi za „złoty wiek” chrześcijaństwa. Był to czas pełnego triumfu Kościoła. Zobaczyć więc, co o tym okresie mówi znana pisarka katolicka Ewa Szelburg-Zarembina:

„Złoty wiek, Złoty od chwały i zwycięstw „podwójnego miecza”. Czerwony i czarny — też. Czerwony — krwią przelewana, krwawym wstydem gorszej ponad miarę społeczności chrześcijańskiej. Czarny — od symonii, lenistwa, ciemnoty, lekceważenia przez duchowieństwo — przez wielką liczbę duchowieństwa — obowiązek kapłańskiego stanu. Zło tak już rosło, tak przybrało na sile, że sam papież stwierdził, iż „potrzeba ognia i żelaza, aby je uleczyć”.

Najbardziej szokujący i paradoksalny był w średniowieczu fakt współistnienia nadzwyczajnej religijności z kompletnym cynizmem i zakłamaniem. Hegel utrzymywał nawet, że największą zdeprowanymi były te kraje, w których Kościół katolicki miał największe wpływy.

Na początku XVI wieku Niccolò Machiavelli oskarżył Kościół i Papieństwo o doprowadzenie społeczeństwa włoskiego do upadku moralnego i religijnego. Twierdził on, że gdyby przeniesiono Stolicę Apostolską do któregoś z bardzo moralnych krajów, to z pewnością wpłynęłoby na pogorszenie jego obyczajów. Na jakiej podstawie tak sądził? Za odpowiedź niech posłuży fragment artykułu o kardynałach, zamieszczonego w tygodniku katolickim „Ład” (nr 5 z 1983 r.). Czytamy tam:

„Korupcja i symonia krzewiły się prawie otwarcie w kurii papieskiej w dobie renesansu. Pod koniec XV w. za pontyfikatu papieża Innocentego VIII (1484—1492) wśród dziewięciu nowo mianowanych kardynałów tylko jeden — Ardicino della Porta — był człowiekiem czystym i gorliwym mężem Kościoła. Purpura kardynalska dość często przyznawano żeświeczalym, rozpustnym i małoletnim nepotom papieskim. Giovanni Medici (późniejszy papież Leon X) otrzymał kardynałat jako 13-letni chłopiec. Rozpustny oficer Rodrigo de Borgia (późniejszy papież Aleksander VI), nie mając święceń kapłańskich, powołany został do kolegium kardynalskiego przez własnego wujka, papieża Kaliksta III. Będąc już papieżem kreował purpuratem swojego syna, 17-letniego „Cezara”.

Dołączmy tu, że właśnie ów Cezar Borgia — syn papieża Aleksandra VI a brat pięknej i zepsutej Lukrecji — był dla Machiavellego wzorem skutecznego polityka. Dlatego pewien pisarz francuski stwierdził, że trzeba być Borgią, aby zrozumieć i zastosować zasady „Księcia”.

Obok Włoch, doskonałym przykładem rozchodzenia się religii i moralności jest nowożytna Hiszpania. Pełno tu było — aż do przesydy — księży i zakonników, kościółów i kaplic. Krwawa żniwo zbierała straszliwa inkwizycja. Lecz religijność ograniczała się do zewnętrznych form, pozbawionych pozytywnej treści moralnej. Dlaczego? Ponieważ Kościół zaszczepił ludziom fałszywe przeświadczenie, że najważniejszą sprawą jest niewzruszona wiara i rygorystyczne przestrzeganie praktyk.

A jak było w Kościele poskim? Raczej lepiej niż we Włoszech i Hiszpanii. Niemniej jednak w 1408 roku wikariusz generalny diecezji krakowskiej, Jan Szafranek, podkreślił, że „zło wśród duchowieństwa w tych czasach tak się zmogło, iż nikt już nie może uchodzić za dobrego, jeżeli tego nie udowodni”. Za nieprzebranie celibatu i konkubinaty wprowadzono karę ciężkiej pokuty i karceru, ale nie dotyczyło to — z powodu „dostojństwa osoby” (excellentiam personae) — prałatów i kanoników.

W późniejszych wiekach (XVII, XVIII i XIX) cudzoziemcy odwieczający nasz kraj wytykali Polakom bigoterię. Spotrzągnięta ich są zresztą zaskakująco aktualne. W 1793 roku lekarz Johann Kausch zdziwiony był olbrzymim kontrastem między wielką pobożnością a niską moralnością. I obraził się na księży, że kształtują fałszywy typ religijności. Zauważył, iż Polacy noszą nie tylko szkaplerze, lecz również medalliony z wizerunkiem Matki Boskiej i płaskie krzyżki, co jednakże nie idzie u nich w parze z cnotami moralnymi. Raziły go ponadto „skandaliczne sceny” (sic!) z cudownymi obrazami, procesjami, odpustami, obfitym używaniem kadzidła i wody święconej. Obarczył on Kościół, a w szczególności jezuitów, winą za wady narodowe Polaków. Podobne opinie można zmnożyć.

Przed wojną Jerzy Paczkowski ironizował:

„Są dwa poważne powody/ Dla których Polska mi zbrzydła./ Za dużo święconej wody./ Za mało wykrytego mydła”.

A Maria Dąbrowska zanotowała w 1937 roku, że „za daleko idziemy w uległości czarnym potęgom”. Po wojnie zaś narzekała, iż katolicyzm nasz stał się „powierzchniowy, fanatyczny, łepy”, przestał być szkołą moralności i przyczynił się do upadku duchowego w Polsce. Tak samo notabene sądził Melchior Wańkowicz.

To wszystko były różnego rodzaju fakty i opinie. A teraz przedstawię własny pogląd. Otóż uważam, że nie należy przeceniać wpływu religii na moralność społeczeństwa. Podzielam w tej kwestii następujące zdanie Konfucjusza:

„Gdzie nie ma prawdziwego ducha moralności, tam nie pomogą żadne formy religijne”.

Ale religia może oczywiście mniej lub bardziej sprzyjać moralności, względnie jej przeszkadzać. Na przykład Kościół chrześcijański uczynił wiele dobrego dla postępu moralnego, który dokonywał się nawet w mroczach średniowiecza, lecz ma też na swym koncie liczne błędy i wypaczenia.

W odniesieniu do tradycyjnego katolicyzmu polskiego sądzę, że raczej słabo oddziaływał na moralność, a w pewnym sensie ułatwiał życie niemoralne. Po pierwsze dlatego, że Kościół zbyt prosto odpuszcza grzechy i zastępuje wiernym sumienie, dzięki czemu mogą lekkomyślnie dalek przeszyć. Po drugie, bo w dążeniu do masowości, faktycznie mało dba o pogłębianie refleksji moralno-religijnej. Po trzecie, ponieważ kładzie przesadny nacisk na praktyki i rytuały, zamiast głównie na właściwe uczynki. I po czwarte, gdyż preferuje zbiorowe i zewnętrzne formy kultu, a nie indywidualno-kontemplacyjne i wewnętrzne, co nakazywał Jezus. W związku z tym mamy przeważnie religijność dewocyjną, bezmyślną i wręcz pogańską. Badania socjologiczne nie wykazują jej korelacji z moralnością. Nawet zachowania etycznie dobre nie są motywowane religijnie.

A poza tym wszystkim, jeśli uważnie przestudiować teksty ewangeliczne i dobrze się zastanowić, można dojść do wniosku, że rozwijany u nas typ religijności jest zasadniczo sprzeczny z nauką Jezusa Chrystusa. Albowiem powszechnie uprawia się akurat to, co Jezus stanowczo odrzucał. Zamiast odnajdywać prawdę w swoim wnętrzu duchowym i manifestować w codziennym życiu moralnym, katolicy koncentrują się na pierwiastkach zmysłowych (obrazach i obrzędach). Przyjęto jakby założenie: nie szkodzi, że masz diabła za skórą — najważniejsze, iż modliłeś się pod figurą.

Obserwując na każdym kroku przejawy bigoterii i demoralizacji, odnoszę wrażenie, iż nasza barokowa religijność wymaga jakiegoś powrotu do źródeł, że w Polsce pilnie potrzebna jest reformacja, która zapoczątkowałaby radykalną o nową życia moralnego i religijnego. Najwyższy już chyba czas na „zmierzch dogmatu i awans moralności”, który w katolicyzmie Europy zachodniej miał miejsce już dwadzieścia lat temu. Bez tego, jak się wydaje, same reformy społeczno-ekonomiczne i polityczno-prawne niewiele dadzą naszemu narodowi i krajowi.

Dokończenie ze strony 1

podstawach. Wola życia to potężna siła, ale nie poparta wiedzą lekarzy nic nie da. Medycyna to tysiące prób i błędów, ludzkich klęsk i tryumfów, to serce do upartego poznawania i rozum. A zjawisko narastającej fali odwrotu od medycyny na rzecz paramedycyny to spłot najróżniejszych czynników obiektywnych i subiektywnych, u których źródła leży głupota... i święta u nas zasada — jedna pani powiedziała drugiej pani, że jej pomogły misteria z Harrisem, a lekarze są głębi. I cześć. Kończy się rozum, zaczyna biegunka. Człowiek na to ma prawie półtora kilo mózgu, by robił z niego użytek, przynajmniej od czasu do czasu. Co wcale nie znaczy, że niewiedzę uważam za jedyne, wszystko tłumaczące źródło zjawiska, bo zbyt wielki jest jego zasięg społeczny.

— Nie jestem przekonana, że tylko ciemnota pcha tysiące ludzi na te, jak pan to nazywał — misteria z Harrisem. — Od razu narzuca się szereg pytań. Po pierwsze — dlaczego ludzie nie wierzą lekarzom, oficjalnej medycynie. Po drugie — że coś w tym jest, to fakt, nawet prof. Sedlak, uczyony w końcu, pisze „Homo electronicus”. Dlaczego więc milczy medycyna, jeśli to wszystko i śura, trzeba to udowodnić, jeśli nie — też trzeba sprawdzić, zbadać, nie odrzucać a priori, tylko dlatego, że nie znamy wyjaśnienia. I po trzecie — dlaczego ludzie tacy jak Nardelli działają poza oficjalną medycyną. Stoja pod bramą, a twierdzą się broni jak przed zarazą. Może warto przyciągać ich do współpracy, analizować, może i uczyć się?

— Dobrze pani wie, że współpraca, poznawanie rzeczy dotąd nie wyjaśnionych to jedno, a tłumy walące do Nardello to coś zupełnie innego. I coś pani opowiem. Kiedyś przywieziono pacjentkę z rozpoznaniem oponiakiem (typ nowotworu powstającego w oponach mózgowych). Operacja była konieczna i to szybko, rokowania jak najlepsze, była szansa pełnego przywrócenia zdrowia. Moim obowiązkiem było uzyskać zgodę rodziny chorej na zabieg, gdyż ta od opinii krewnych uzależniała poddanie się operacji. Rodzina została poinformowana o wszelkich szczegółach — o braku czasu na czekanie, o rokowaniach, o zagrożeniach. Rodzina odmówiła... bo — sam nie wiem — czasem myślę, że takie sytuacje stoją na pograniczu zalegalizowanej zbrodni. Usłyszałem, że oni jeszcze spróbują z Harrisem, gdzieś, ktoś im powiedział i uwierzyli, że tam chora otrzyma ratunek i pomoc... a w razie niepowodzenia, zgodzą się na zabieg. Zabrali chorą, a ja mogłem co najwyżej gryźć palec z bezsilnej wściekłości. Po kilku miesiącach — co było do przewidzenia — chora znowu trafiła do nas. Tylko że choroba poczyniła już spustoszenia, zabieg stawał się wielkim ryzykiem. Nowotwór zaatakował te okolice mózgu, że ingerencja chirurga oznaczała bądź ciężkie i nieodwracalne kalectwo, bądź zgon. Ratunku już nie było. Nawet w wypadku powodzenia operacji, chora była skazana. I my, lekarze przegraliśmy jeszcze raz z zabobonem i ciężką głupotą. Czy czas stracony nie był ze strony tej rodziny zwykłą zbrodnią? Ale gdy chory umiera, pretensje spadają na nas, bo my musimy pomóc. To nie jest wcale odosobniony przypadek zabobonnej wiary w „cudowne prądy”, które ulecą zamiast lekarza.

— Mogłabym z kolei opowiedzieć panu o setkach przypadków, kiedy lekarz nie pomógł, choć miał wszelkie po temu szanse i środki, o partactwie, ewidentnym niedouczeniu, lekceważeniu. Zna pan to ohydne powiedzenie — błędy lekarza kryje ziemia?

3. DMUCHANIE W TAJEMNICE

— Jesli bym powiedział, że to wszystko nieprawda, skłamałbym samemu sobie, ale postaram się rozebrać rzecz całą po kolei. Nieszczęście zaczyna się wtedy, gdy do lekarza trafia się na końcu. Przeróżno wielkiego zainteresowania paramedycyną widzę — jak powiedziałem — w niskim poziomie kultury umysłowej. Im zaś ten poziom niższy, tym bardziej wzrasta wpływ czynników irracjonalnych na postawy i myślenie jednostek i całej społeczności. Tkwi jeszcze w naszym społeczeństwie wielkie zamilowanie do zjawisk i faktów „tajemnych”, nadprzyrodzonych, cudownych. Niezręcznie atrakcyjność zasady — coś — w tym jest — pcha, zdawałoby się wykształconych ludzi w objęcia wróżek, znachorów, różdżkarzy. Jest to o tyle naturalne, że choć poznańskie sprawy nie wyjaśnionych jest przecież motorem poznania, całej ludzkiej wiedzy. Jeśli jednak owo parcie ku parapsychologii, paramedycynie, czy innym tego typu sprawom przeradza się w beznamiętność, odrzucenie wiedzy — zaczynamy mieć do czynienia ze zjawiskiem niepokojącym, tak, jak może niepokoić wtórny analfabetyzm. Uważam też, że spore jeszcze odłamy naszego społeczeństwa reprezentują mentalność, kulturę życia, wreszcie wiedzę o świecie rodem z ciemnego podwórka XIX wiekowej prowincji. Powszeczną oświata, dostęp do osiągnięć nauki, cywilizacja materialna, dość płytko przeorały ten przedziwny świat mitów, przesądów i zabobonów.

I jeszcze jedno. Znachorzy, zamawiacze, babki, lokalne sławy „uzdrowicielskie” istniały sobie spokojnie przez cały czas. Krały po kraju pogłoski o cudownych uleczeniach, o niezawodnych balsamach. To wszystko było sobie najspokojniej tuż obok znanych klinik „świetnych” specjalistów i osiągnięć na miarę światową. I słabo jakos słychać było pytanie — dlaczego tak się dzieje? Dlaczego ludzie wierzą w te „cuda”, dlaczego wola pójść do znachora, niż trafić do lekarza? To, co dziś obserwujemy nie jest wcale nagłym przypływem szczególnej fascynacji, czy totalnym odwrotem od oficjalnej medycyny. Był sobie taki cichy zar, gdzieś pod powierzchnią i nagle się zrobił z tego wielki ogień? Wcale nie.

Powiedzmy sobie otwarcie, że mamy do czynienia z wielką hossa, starannie nakręcaną koniunkturą. Robienie tzw. „atmosfera” to naprawdę żadna sztuka, jeśli istnieje podatny grunt, czyli te skłonności ku rzeczom „tajemnym”. Wielki w tym udział mają środki masowego przekazu, podkręcając zainteresowanie, dorzucając „sensacje” i już. Reszta widać gołym okiem przed salami, gdzie będzie Nardelli. Znamyśmy przecież się na temat, bo ludzie to kupią, ludzie to lubią, a dziś o czytelnika trzeba walczyć. Wiele się go kupuje, albo seksem — bo obskurantki purytanizm dusi, albo



Foto: Mirosław Zajdlar

Znachor może — lekarz musi

parapsychologią czy paramedycyną. Nie chcę wcale powiedzieć, że w ogóle nie należy poruszać tych tematów. Tylko nim się sięgnie po pióro i wysmażyć sensacyjne czytadło do weekendowego numeru, najpierw trzeba pomyśleć, czy nie robi się większej krzywdy, rozniecając nieuzasadnione nadzieje w ludziach rozpaczliwie potrzebujących pomocy.

4. CYWILIZACJA NAS DUSI

Nie bez wpływu jest też zjawisko dużo poważniejsze, o zasięgu światowym. Cywilizacja techniczna zaczyna dusić, przytłaczać, więc w naturalnej obronie wartości niematerialnych, człowiek sięga po cuda, tajemnice, niezwykłość, żeby uciec przed rzeczywistością globalnej wioski. A u nas — wiadomo — co z Zachodu, to lepsze i święte, tyle, że przyjmowane na ogół bezrefleksyjnie, więc wyraża się w karykaturę. Dlatego bronie lekarzy i medycyny naukowej. Nie przed nadzieją ludzi szukających ratunku, ale przed dziłkim tłumem trapiącym najstarszych, by się dostać na misteria z Harrisem.

Wiedza ludzka to suma lat prób, doświadczeń i badań. Im więcej wiemy, tym więcej wylania się pytań. Pokora wobec własnej niewiedzy to jedna z cech koniecznych u każdego badacza. Wiem, że nie wiem — to najsmutniejsza z ludzkich myśli. Odwołam się do przykładu własnej specjalności — neurochirurgii, o której nie tylko przeciętny człowiek niewiele wie, co gorsza, także wiedza lekarzy innych specjalności nie jest zbyt rozległa. Neurochirurg staje często wobec nie wyjaśnionych zagadek ludzkiego bytu. Tu nigdy nie można niczego twierdzić na pewno. Czasem choremu nie daje się żadnych szans, a on wychodzi z kryzysu, czasem — bywa odwrotnie. Nie wiemy ciagle, czy poznaliśmy zaledwie 10 procent funkcji ludzkiego mózgu, czy też nie znamy jeszcze owoch decydujących 10 procent czlowieczego centrum decyzyjnego. Nie wiemy wszystkiego o procesach zachodzących w ludzkim mózgu, o psychicznych uwarunkowaniach całej kondycji człowieka. Tu przecież rodzą się pytania o mechanizmy powodujące wzrost lub osłabienie procesów obronnych przed chorobą, o to, co nazywamy potocznie wolą życia, umiętnością skoncentrowania wszystkich sił organizmu do walki z zagrożeniem. Tu pycha tego, co się już wie, może zamknąć ostatecznie drzwi do poznania. Niczego nie wolno wysmiewać ani odrzucać nim się wszystkiego nie zbada. Tak przecież bywało, kiedy odkrywaliśmy na nowo osiągnięcia wielkich szkół medycznych Wschodu, ziołolecznictwa, doświadczeń medycyny ludowej. Tak było z akupunkturą, nie tak dawno przecież wysmiewana i lekceważona przez uznane — bywało — autorytety lekarskie, a dziś przyjęta i wprowadzona do metod leczenia. Tak bada się zjawiska bioprądów, nieznanych jeszcze zjawisk zachodzących w organizmach żywych.

Nikt z uczonych nie twierdzi przecież, że bioenergoterapia i zjawiska jej towarzyszące to wymysł szarlatanów żerujących na ciemności umysłów. Po prostu, nim się odważymy cokolwiek twierdzić na pewno i bez wątpliwości, trzeba zbadać, sprawdzić i jeszcze raz sprawdzić, bo krzywdę wyrządzać można bardzo łatwo, a skutki mogą być nieodwracalne. I tu tkwi istota całej tej afery z „paramedycyną”.

ceum na wszelkie choroby, tak jak byłe inżynier wie, że nie ma perpetuum mobile. Nie ma cudownego leku „w ogóle”, na wszystko, nie ma metody równie pomocnej we wszystkich przypadkach. Bębni się o tym od lat i jak widząc bez wielkiego skutku. W gruncie rzeczy niedaleko odeszliśmy od znachorstwa w naszym potoczny myśleniu. Ludzie ciagle spodziewają się lekarza cudotwórcy, który z niczego będzie stwarzał cuda. Powtarzam — żaden lekarz nie odrzuci a priori żadnej szansy rozwiązania zagadek, ale nim wyda opinie, będzie ostrożny i nieufny. Najmądrzejsze co możemy zrobić, to powiedzieć — być może — i badać, ale na to trzeba czasu.

Chciałbym też podkreślić, że byłoby nieuczciwym twierdzić, że wszystko, co nieprecyzyjnie nazywamy „paramedycyną”, każdy, kto działa w tej sferze, jest szalbierzem. Niektórzy z nieoficjalnych uzdrowicieli posiadają rozległą wiedzę o naukach medycznych, wieloletnie doświadczenie i dobre wyniki. Wielu spośród tzw. kręgarzy ma doskonałe metody leczenia dolegliwości organicznych, znają dobre metody masażu, gimnastyki, wielu też ściśle współpracuje z lekarzami i pod ich kontrolą. Bo, jak powiedziałem, nie wszyscy jeszcze wiemy, trzeba korzystać z doświadczeń płynących ze wszystkich źródeł i badań, sprawdzać, upewnić się. Uczyć można się i od diabła i nie wstyd przyznać się do niewiedzy.

5. DO LEKARZA JESZCZE SIĘ ZDAJĄ

— Omijamy rzecz najważniejszą. Cała sprawa sprowadza się przecież do zaufania. Lekarzowi, medycynie trzeba ufać, by tam szukać pomocy. Szalony run na te wszystkie paramedyczne eksperymenty to jedno wielkie wyzwanie racune wam, lekarzom.

— To prawda. Rozdzielcie trzeba jednak dwa nurty tak ostrych objawów społecznej nieufności do medycyny oficjalnej. Pytanie — czy do lekarza idzie się najpierw, czy dopiero jak zawiodą „niezawodne” leki polecane przez sąsiadkę i gdy kręgarz nie pomoże — jest istotne. Jeśli najpierw szuka się cudów, marnuje często bezcenny czas, a gdy już nie ma żadnych widoków poprawy, trafia się do lekarza — to to jest czysta i — jak wiadomo nieograniczoną — głupota. Wtedy leci się do medyków — ratujcie chłopaki. A bywa, że jest już za późno. Wtedy od lekarza się żąda, bo przecież od tego jest. Jeśli lekarze okazują się bezradni — biada im. Rozpowiada się jak to „wziął” i nic nie pomogło, że konował, złodziej i nieuk. Bywa i tak.

Gdy zaś człowiek, wobec którego choroby medycyna jest bezsilna, szuka ratunku skądkolwiek by była nadzieja — coś, nikomu nie wolno odebrać praw do decydowania o sobie, ani prawa do nadziei. Można tylko i trzeba ostrzec przed oczekiwaniem cudu. Powiedzmy tak: do znachora idzie się oczekując od niego pomocy... bo a nuż... Towarzyszy temu cała otoczka „zalatwiania dojsia”, specjaliści możliwości itd. To podnieca, robi klimat niezwykłości, bo skoro walą takie tłumy to coś w tym jest. Rodzi się nadzieja na cud, skojarzona z olbrzymią potencją pozytywnego nastawienia psychicznego. Gdybyż ten sam potężny motor psychicznej woli życia, kredyt zaufania dostawał lekarz w przychodni... Ale przychodnia, czy szpital to proza, bynajmniej

Każdy lekarz wie, że nie istnieje żadne panowanie ekscytujące. Psychika ludzka może okazać się ogromnym katalizatorem procesów ozdrowieniowych, nastawienie na odzyskanie zdrowia, wola współdziałania z wysiłkiem lekarza może dać wspaniałe rezultaty. A lekarz przegrwa z osławionym znachorem, bo nie zaleca — plucia przez lewe ramię na rozstajach o świcie, tylko zwyczajnie ordynuje apteczne leki, albo wysyła na stół operacyjny. Od lekarza żąda się pomocy, on musi, od znachora pomocy się oczekuje — on może.

6. NAM SIĘ TO NALEŻY

— Wali pan do jednej bramki. To nie pacjent ma być godzien zaufania, lecz lekarz. Zaufanie to droga rzec, na to trzeba sobie ciężko zapracować. Nie za darmo.

— Oprócz służby zdrowia rzecz jasna. Reszta się zgadza. Już wiem o co chodzi. O moralny poziom, o etykę zawodową personelu medycznego, który — jak ludzie mówią na mieście — na grzbietach pacjentów dorabia się majątków. Czy tak?

— Poniekąd. Ale nie chodzi mi o zagładę do lekarskich kieszeni, dlaczego tak się dzieje? Bo, że się dzieje źle, nawet nie będę próbował zaprzeczać. Czy dlatego, że do zawodu lekarza trafiają jakieś szczególnie podejrzanie moralnie indywiduali? Czy może mamy do czynienia z ciężkim błędem w konstrukcji, w samym założeniu konstytuującym naszą służbę zdrowia? Gdyby było wszystko w porządku, to przede wszystkim ja byłbym szczęśliwy, nie martwiąc się o walące się budynki szpitala, o sypaną się kanalizację, o rękawiczki chirurgiczne, żeby koniecznie zachodnie, bo znakomite (nasi nie wiedzą czemu nie potrafią takich zrobić). Ale zostawmy na boku sprawę materialnego poziomu naszej bazy leczniczej. Nie ma co strząpić gardła na powtarzanie jak jest źle.

Miałem, proszę pani, okazję pracować jako lekarz kilka lat na Zachodzie, jednego jestem pewien. Tam medycyna — to jest dochodowy biznes, a lekarz należy do najlepiej zarabiających grup społecznych. On się nie musi zarządzać setkami dzwurów, żeby dorobić na życie. On sobie pracuje spokojnie. Ma czas jeździć po świecie, czyć się od innych, ma czas, żyć na przyzwoitym poziomie. Jeśli zdobywa uznanie, jest doskonale opłacany specjalistą, nie musi mieć prywatnej praktyki (znowu, żeby dorobić). Dla zamoznych są prywatne kliniki, dla uboższych — sieć komunalnej, utrzymywanej przez państwo służby zdrowia. Ale nawet lekarz w takiej sieci komunalnej nie jest biedniejszy od robotnika dużej fabryki.

U nas, lekarz, żeby żyć na przyzwoitym poziomie, musi barować na pięciu posadach i jeszcze dorabiać ekstra dykturami. Musi walczyć o byt, a nie o podnoszenie swojej wiedzy, bo na to też trzeba mieć pieniądze. Żeby wyjechać do wiodących ośrodków na Zachodzie, zobaczyć, nauczyć się, musi walczyć, żeby zdobywać kolejne stopnie naukowe. Musi płacić za to produkcję gniotów, bo rodzicany jest za ilość opublikowanych prac naukowych. Taki, co wolałby napisać rzetelną, wnoszącą coś nowego pracę, raz na kilka lat, podpada od razu, bo nie „wyrabia się z planem”. O warunkach pracy nie będę już wspominał, „bo mnie cholera bierze. Wie pan o czym marzy większość moich kolegów? Żeby się wreszcie wyspać. Tymczasem „opinia publiczna” widzi lekarskie wille i samochoody, ale nie pyta jakim wysiłkiem, oszczędnością, ciuclaniem jest to zdobyte.

Mity o zarobkach lekarzy krążą w narodzie, podbechtywane przykładami „brania” za operację, konsultację, za wizytę. Więc powiedzmy wreszcie jasno. W każdym środowisku zawodowym znajdzie pani brudy, lekarskie nie jest od nich wolne. Tylko, że gdy idzie się do znachora, każdy uważa za oczywiste, że trzeba dać. Lekarz ma zrobić za darmo, bo ustroj-dal bezpłatną opiekę zdrowotną, więc się należy i wara od „zdobyczy ustrojowych”. To ja się pytam, co to za zdobyc, do której planowo i beznadziejnie się dopłaca, a działośćwo — jak było tak jest? Wygląda to tak — lekarz — to bezpłatne żądanie, bo się należy, znachor — to płatna nadzieja.

Uderzyć w nieuczciwych, nieetycznych lekarzy jest bardzo łatwo, a jeszcze łatwiej ogólnie złą opinię na całej środowisko. Trudniej uderzyć się w pierś i przyznać, że w naszej mentalności ciagle tkwi przekonanie, że jak się płaci, to ma się lepiej i więcej niż inni. Jak przycięnie potrzeba, to i tak się idzie do prywatnego specjalisty albo do spółdzielni, gdzie się płaci. Do rejonu trafia się jak potrzebne jest L-4. Co można mieć darmo, tego się nie szanuje. Jak trzeba płacić — zaraz jest to znakomity specjalista, bo tak się wysoko ceni. Tak to już jest z naszym myśleniem. Nie lubimy pracowitych i zapobiegliwych, kołą w oczy ich osiągnięcia, zwłaszcza gdy, jak lekarze, uważani są za należną nam część zdobyczy ustrojowych. Trzeba więc dobrze płacić personelowi medycznemu, by usunąć źródła wielu przykrych i, w ostatecznym rachunku, kosztownych społecznie wynaturzeń.

7. ZAPROSZENIE DO DISKUSJI

Pociąg zbliżał się do końcowej stacji, zbieraliśmy się do wyjścia. Pożegnaliśmy się z lekarzem nie zdążywszy się przedstawić, nie zapytawszy o nazwisko mego towarzysza podróży. Jeśli więc trafił do rąk ten tekst, chciałbym podziękować za rozmowę, a Czytelników zapraszam do dyskusji.

JOLANTA WRONKA

JOLANTA WRONKA

Młodzież i kultura

Dokończenie ze strony 1

Dla przykładu: pierwsze 15 lat po rewolucji w Związku Radzieckim, cała manifestacja dadaistyczna, radziecki ekspresjonizm eksponowały silnie wątki społeczne na potrzeby młodej rewolucji. Z czasem przestało się to podobać, a tym samym i spełniać swoje funkcje społeczne. To był boom dla plakatu, plastyki w ogóle. Dziś wiadać przyszedł czas na muzykę.

— Muzyka, zgoda. Ale dlaczego rock? Mówił pan o pokoleniach, które „wiozą” się na dorobku poprzedników. Czy to rodzaj „uniwersalizmu” rocka, czy też może szczególna mnogość odmian jego form jest dziś powodem jego atrakcyjności?

B. OLEWICZ: — Proponuję zamiast odpowiedzi wprost, aby spojrzeć pan na tę sprawę z innej zupełnie pozycji.

Są ludzie, grupy, ba, może i całe pokolenia, które dają się stosunkowo łatwo kształtować na wzór i podobieństwo generacji wychowującej. Są też i inne — te zbuntowane, silne, nie dające się „urabiać”, z jakimś własnym programem lub choćby jego namiastką. Tego rodzaju pokolenie posiadać będzie silnie wykształconą potrzebę manifestacji kulturowej, zademonstrowania czegoś własnego. A teraz proszę sobie wyobrazić takiego zbuntowanego, młodego, agresywnego człowieka wpuszczonego w szacowne grono dobrze ułożonych ludzi. Aby zwrócić na siebie uwagę, a następnie coś od siebie przekazać musi być wyposażony w skuteczne środki dla sprowokowania tamtych. Im uczyni to głośniejszy, silniejszy, bardziej agresywnie, tym lepiej dla niego, dla tego, co chce osiągnąć. Stąd uważam, że wybór tego rodzaju muzyki jak rock jest w tym przypadku wyborem świadomym. Dziś gitara i dobry tekst poetycki skierowany przeciw wojnie i niesprawiedliwości świata byłby nieskuteczny. Do tego się już przyzwyczajono, zaczęto to nawet hołubić (Okudźkawa, Wysocki). Za tego rodzaju „manifestację” można co najwyżej dziś zostać poglaskanym po głowie. A więc skoro nie to, to co?

— Zapewne raz jeszcze powtórzy pan, że nie innego jak rock.

B. OLEWICZ: — Tak. Ale pytanie „dlaczego”, pozostaje. Myślę, że może dlatego, że nie jest to muzyka słowiańska, obca, a więc już przez to musi się wyróżniać. Dalej: jest to muzyka głośna, hałaśliwa (co dla ludzi w pewnym wieku jest przykre), jest nieobliczalna w programie, w słowach. Towarzyszą jej muzyce specyficzne zachowanie, ubióry, atmosfera. Rock jest muzyką popularną w wielu krajach. Nagrania płytowe przynoszą zespołom i twórciom wielkie pieniądze, a więc i pozycję materialną liderom rocka. Daje im to coś więcej niż sławę.

Koncerty rockowe to „doskonała pralnia”, w której można „wygotować” wszelką agresję, znaleźć ujście dla jej nadmiaru. Ale z drugiej strony rock jest synonimem albo substytutem siły. Jest rodzajem misterium, w którym fani „oddają hołd” idolom wyrażającym przez substytut „siły” (waty aparaty nagłaśniające) ich pragnienia, postawy, marzenia. Do pełnego obrazu dodajmy obnażone klatki piersiowe, muskularne herosów rock and rolla. Powie ktoś, że to zwykłe szamaństwo, zgoda, ale chyba są to sprawy o wiele ważniejsze, o czym mówimy wcale nie bez znaczenia.

Jakże zmieniły się akcesoria w stosunku do tych z końca lat sześćdziesiątych, kiedy dominowały loki, pierścienie, kolczyki i zaboty...

— A jak to się wszystko ma do wczesnego hasła „kontrkultury” bycia sobą?

B. OLEWICZ: — Umówmy się, że to, co dotąd mówiłem nie dotyczy wszystkich uczestników koncertów rockowych. Połowa z publiczności przychodzi dlatego, że zespół ten czy ów jest modny, a piosenki jego popularne. Zachowanie ich jest często ludzko podobne do całej reszty, ale tylko podobne. Istnieje swego rodzaju „kodeks”, według którego ten czy inny strój, makijaż, sposób bycia jest „charakterystyczny” lub też nie, a więc nieautentyczny. Dlatego ów problem „bycia sobą” jest niejednoznaczny. Często w sferze tekstowej szuka się określonych słów, hasła, które powodowałyby integrację sali i więź fanów z wokalistą. Ale, aby tę integrację uzyskać nie wystarczy rzucić ze sceny: nie ma jak szpan!

— Tu wydaje mi się dochodzić do kolejnego problemu, jest to sprawa autentyczności albo wierności i sprawa manipulowania zachowaniami, emocjami ludzkimi. Stąd moje pytanie o to, czy to, co obserwujemy w dziedzinie popularyzacji rocka, a mam tu na myśli koncerty, ale także radio i telewizję, czy to jest „zapis żywiołu” czy też manipulacja, propaganda?

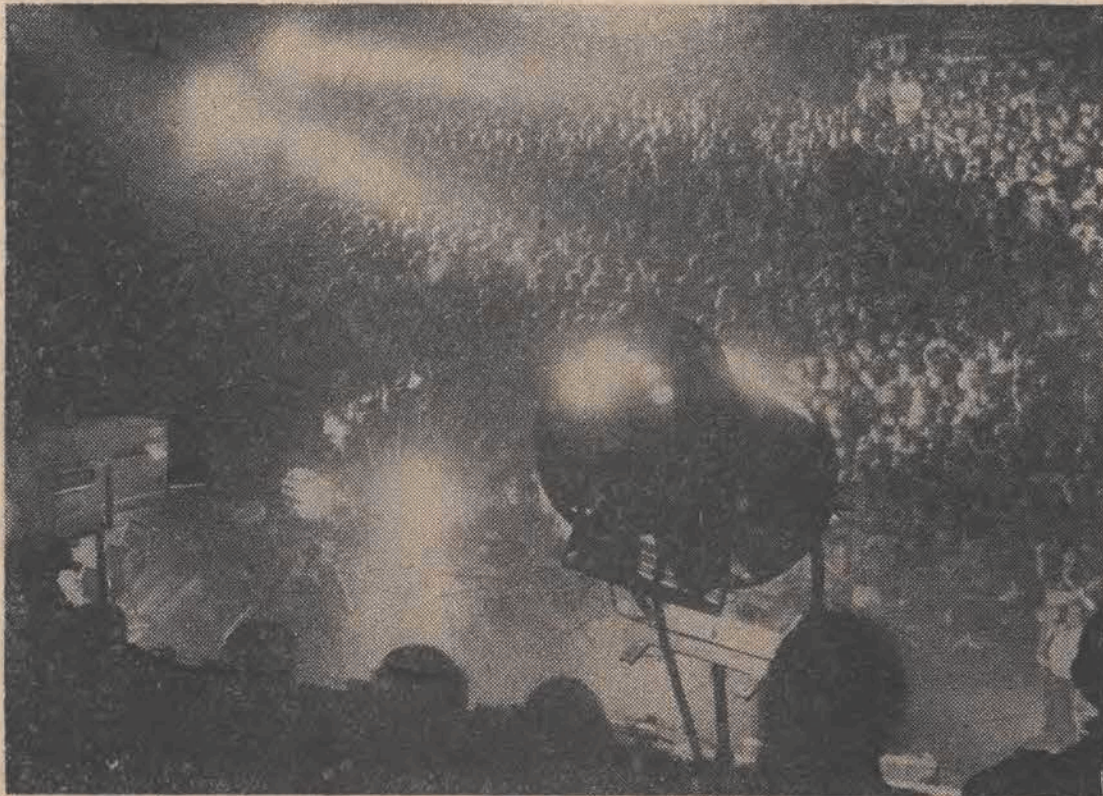
B. OLEWICZ: — To, co prezentuje telewizja to nie tylko dowód braku gustu, ale efekt nieprawdopodobnych układów, warunków itp. Czasami jest to dzieło przypadku.

— Myśli pan o telewizyjnej liście przebojów?

B. OLEWICZ: — To trudno nawet tak nazwać. Jest to zaakceptowanie przez określonych ludzi (decydentów) tych a nie innych wykonawców i piosenek. Dlatego mamy w tym przypadku do czynienia bardziej z manipulacją niż prezentacją. To powoduje, że cała masa ciekawej, dobrej muzyki pozostaje w cieniu. Z drugiej strony „puszcza się” rzeczy z obrzeża, żeby nie powiedzieć marginesu współczesnej muzyki. Ta „ekstremna” pojawia się na ekranach również w określonym celu.

M. NIEDZWIECKI: — Zgadza się z tym, iż telewizja w tym, co robi, nie ma pewnie zamiaru prezentować zjawisk, które dzieją się we współczesnej muzyce, ale przeprowadzać jednostronną ich selekcję. Są to propozycje już przefiltrowane i niereprezentatywne. Z czego to wynika? Zapewne jest to jakaś koncepcja, albo brak kompetencji ludzi za to odpowiedzialnych.

Drugi powód — to bariera techniczna. Te bariery stanowią poziom techniki telewizyjnej i koszty. W efekcie powoduje to, że lista jest w pewnym sensie sztuczna, bo limitowana. Cykl telewizyjnego przygotowania zespołu, a



Ta muzyka doszła już do ściany

potem nagrania dla prezentacji jest okropnie długi. Od czasu zgłoszenia zespołu czy piosenkarza do listy minie co najmniej trzy tygodnie do momentu telewizyjnej prezentacji.

— Czy radio jest obiektywne?

M. NIEDZWIECKI: — Nie. W końcu to, co proponuje radio jest wypadkową gustów paru-nastu ludzi, którzy decydują o tym, jaka muzyka będzie w programie III radia nadawana. Jest komisja, która niejako kwalifikuje nagrania do listy przebojów. Jest to rodzaj ograniczenia, kolejna bariera, ale chyba z określonych powodów niezbędna.

Nie chodzi o to, aby kogoś „obcinać”, albo nie dopuszczać do anteny. Rzecz w tym, aby w powodzi utworów, które powstają i są zgłaszane do programu III, wybierać najlepsze. Nasz program stara się ustawić poprzeczkę wysoko. Nie widzę powodów, aby ją obniżać.

Ponadto sama muzyka rockowa rozsądza jest od wewnątrz. Ludzie, którzy robią pieniądze na muzyce nagle stwierdzili, że można na rocku nieźle zarobić. Dlatego by nie skorzystał? Kiedyś nazywali się np... zresztą wszystkim jedno jak, a dziś biorą się za rock. Kiedyś śpiewali w Kolobrzegu i dostawali za to „pierszenie”, a dziś postanowili zarobić pieniądze na rocku. Ale ludzie ponoc i to kupują, biorą fałszywy rock za rock. Jest to bardzo smutne. Daje mi to powody sądzić, że będzie gorzej z muzyką rockową. Szkoda...

— To jest to, o czym mówił pan Olewicz, cytując hasło: „nie ma jak szpan”. Byłe głośnie, były więcej za to „szmalu”.

M. NIEDZWIECKI: — Nie chciałbym być źle zrozumiany. Są ludzie, wykonawcy, zespoły, sprawdzający się w wielu gatunkach muzyki i robią to świetnie. Ale to są wyjątki. Na pewno nie należą do nich ci, którzy dziś nagle się przekwalifikowali na rock, głównie po to, aby utrzymać się na rynku, aby zarabiać. Czynią to nader często ze szkodą dla tej muzyki. To jest to, co nazwałem rozsądnym rocka od wewnątrz.

B. OLEWICZ: — Skąd bierze się niedosko-

nałość radia? Po pierwsze pewnie stąd, że brak jest konkurencyjności poszczególnych programów. Ta nieszczęsna komisja kwalifikacyjna także swoje dokłada. Ale może ona być także wygodną zasłoną, parawanem dla prezenterów. Stąd wyjście widziałbym w układzie prezenterów, którym dalałyby się stosunkowo dużą swobodą w obrębie określonej ramówki. Przy tym modelu na audycjach odciskałaby się indywidualność prowadzącego.

— Powróćmy znów do muzyki. Moje kolejne pytanie: czy to, co dziś słyszymy, widzimy, to wyraz „filozofii nastolatków” czy może a-dresowana w kierunku „młolotów” swoista „filozofia odbitej fali”? Mówi się przecież o młodzieży dzisiejszej, że nie posiada żadnego programu, oblicza itp...

B. OLEWICZ: — Wydaje mi się, że czuję do czego pan zmierza. Była kiedyś filmowa wersja społeczeństwa, w którym młodzież ogarnięta szaleem do określonej muzyki miała być sterowana, prowadzona przez swego idola zmówionego z ludźmi posiadającymi władzę. Myślę, że nie ma „tajnego sprzyśnięcia” ludzi tworzących muzykę rockową w naszym kraju, ani tym bardziej umowy tych ludzi z tzw. „władzą”.

Trzeba raczej powiedzieć tak, że nie byłoby takiej eksplozji muzyki rockowej w Polsce, gdyby nie wydarzenia roku 1980. Podobnie nie byłoby tego, co miało miejsce w Polsce, w historii ruchów młodzieżowych bez roku 1956 i 1968. To dla mnie jest oczywiste.

— Upiernam się przy swoim pytaniu: czy muzyka rockowa to jest właśnie to, czy jest ona muzycznym przesłaniem polskich „młolotów”? Czy nie buntują się już przeciw niej? Czy nie poszukują innej formy?

M. NIEDZWIECKI: — W pewnym sensie jest tak, jak mówisz. Ci najmłodszy jakby odrzucają tych uznanych. Mają swoich następnych idoli. „Maanam”, „Perfect”, czy nawet „Republika”. To już nie to. Zrobili „szmal”, kariery, są uznani. A więc to niemal zdrzący czegoś takiego co można — jeśli można? — określić „ruchem”.



Foto: M. Zajdler

B. OLEWICZ: — Oni zarobiwszy pieniądze jakoby zdradzili ideę. Część odruchu protestu, który symbolizował rock, nie była skierowana jedynie przeciw beznadziejnemu życiu, władzy obarczanej odpowiedzialnością za brak perspektyw, ale również przeciw modelowi kultury masowej minionego okresu. Tak przypominajmniej było to odbierane przez liczne rzesze zwolenników rocka. Tymczasem, kiedy coraz częściej zespoły rockowe występowały w radio czy telewizji, wówczas niektórzy z fanów okrzykli je zdradźcami. No, bo jak: śpiewają tak czy inaczej i ich puszczają? Coś tu wydało się niektórym nie bardzo w porządku. Stąd wiele zespołów rockowych, aby uniknąć tego rodzaju posądzenia nie godziło się na występy w radio, a szczególnie w telewizji. Nie zawsze więc musiały to być powody polityczne.

— Była więc to postawa ocalenia szczególnie rodzaju wiarygodności?

B. OLEWICZ: — Tak. Szczerze i wiarygodność. Zrobił wszystko, abyś takim mógł zostać jak najdłużej. To podstawowe hasło Hoidysa.

— Mówimy o wiarygodności i w tym momencie przyszła mi na pamięć „Autobiografia”. Jest to przecież poetycka refleksja naszego pokolenia, no, nie ukrywajmy — trzydziestolatków! A tymczasem rozmawiamy o muzyce młodzieżowej, muzyce „młolotów”. Cóż może powodować, że tak chętnie słuchają tej piosenki? Przecież czasami nie rozumieją ani jej tekstu, i nie dlatego, że jest tak skomplikowany w warstwie słownej, że trudna poetyka, ale dlatego, że nie znają lub słabo orientują się w tym, o czym w piosence tej się śpiewa. Czy zgodzi się pan ze mną?

B. OLEWICZ: — Myśli pan zapewne o pewnych niezbędnych czasami wyjaśnieniach do głównej wersji fabularnej „Autobiografii”, porównując od owego „wujka Józka”, do którego zastrzeżenia miała cenzura. Tak, z tym się zgodzę. Ale to jest skutkiem tego, że żyjemy w dość dziwnym kraju, w którym nader skutecznie wlicza się młodym ludziom do głowy wiedzę z historii wielu innych krajów i narodów, a skąpo mówi się o naszych dziejach, szczególnie tych najnowszych, prowadzących korzeniami wprost do dnia dzisiejszego. To jest powód tych dodatkowych wyjaśnień do „Autobiografii”.

— Ale te sprawy, o których teraz mówimy sprowokowały nas do napisania owych dwu „Czytaniek dla Janka”.

Ludzie młodzi, dużo od nas młodszy, nie rozumieją nawet do końca „Autobiografii”, odbierając z niej głównie to, że jest to opowieść o jakimś tam „przechlapanym” życiu, w którym coś się nie udało, coś straciło sens. Ludzie w naszym wieku, rówieśnicy, słuchają i mówią: „no, dobrze, wiemy o co wam biega”.

Ci młodzi też to czują. Wyczuwają w tej piosence przede wszystkim nastroj porażki, rezygnacji. Solidaryzują się z jej przesłaniem, bo w gruncie rzeczy nie chcą, aby ich życie było podobne temu z „Autobiografii”.

— Czy dlatego napisał pan piosenkę „Jesteś lekiem na całe zło”?

B. OLEWICZ: — I dlatego i nie tylko. To przecież również sprawa takiej a nie innej muzyki. To również sprawa osobowości Krysztyna Prońko, która jest babą i po babesku, na swój sposób próbuje tą piosenką załatwić sprawy dotąd nie załatwione.

Jest to poza tym propozycja może i zdradliwa (w rozumieniu filozofii rocka), jakby „spuszczania z tonu”, ale w końcu ludzka. Propozycja zajęcia się również sobą, tą naszą wielką, ludzką sferą uczuć.

Jesli już nie albo niewiele możemy zrobić dla wielkiego świata, zróbmy chociaż coś dla tego małego świata „ja i ty”.

Chociaż przyznaję, że tak szybko zdobyta popularność tej piosenki trochę mnie zaskoczyła.

— Czy nie sądzi pan, że i ten „program”, ten rodzaj „filozofii” był także komuś potrzebny?

B. OLEWICZ: — Pewnie tak. Jest to program pewnego spokoju, tęsknoty za nim. Marzenie o tym, aby na moment zostawić świat po tamtej stronie zamkniętych drzwi.

Sama piosenka i jej pewna popularność wpływa także z potrzeby autentyczności, szczerości. Przecież żyjemy w kraju, w którym co chwila białe jest czarne i ludziom naprawdę jest czasami trudno w tym wszystkim się połączyć. Jest to oczywiście główny problem dla ludzi, którzy robią kariery, bo oni na czas muszą wiedzieć, co teraz jest czym, a reszta się o tym w odpowiedniej porze od nich dowie.

Myślę także, że ludzie są już po prostu zmęczeni, po ludzku zmęczeni.

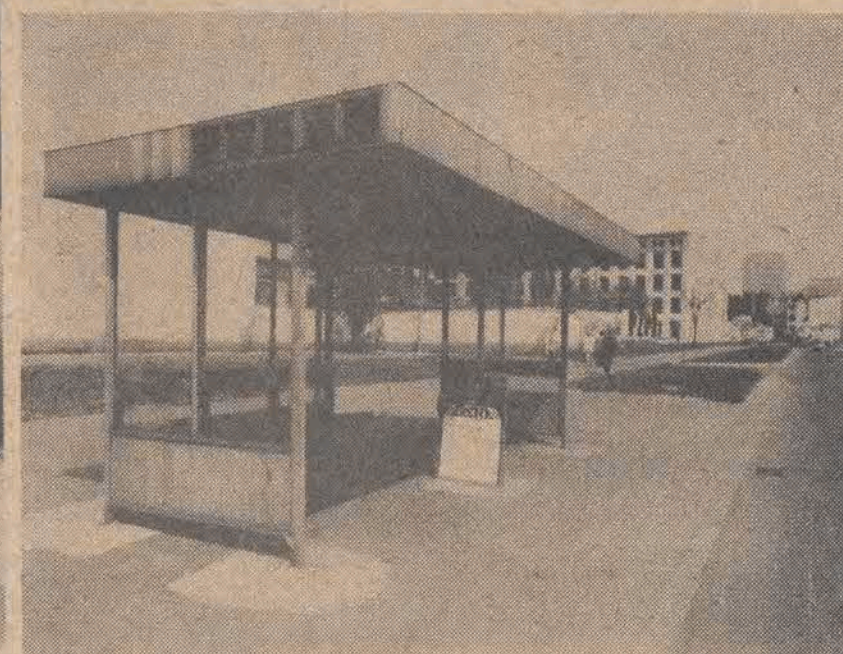
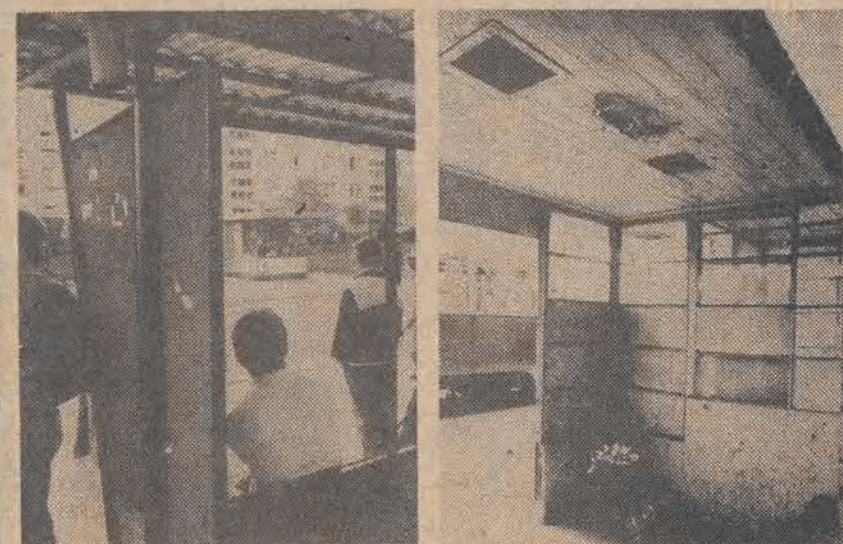
M. NIEDZWIECKI: — Ale piosenkę tę przyjmują nie tylko ci, do których jest ona jakby adresowana, ludzie z waszego pokolenia, proszą o nią na kartkach „młolotów”. Chociaż znajdują i takie kartki, w których piszą „Przeź K. Prońko! To nie jest to, o co nam chodzi!”.

B. OLEWICZ: — Zapewne tak. Chociaż tych „młolotów” okrzyknięto już pokoleniem straconym, którego zresztą tak właśnie nie okrzyknięto? I każde dobiło kiedyś do momentu tzw. malej stabilizacji. Herosi w końcu pomierali i pewnie dzięki temu nimi zostali. Uratowali często swoją twarz dlatego, że odeszli w porę. Nie daj Boże, żeby któryś z nich przeżył, bo jak by dziś wyglądał, kim mógłby dziś być?

Mówię o tym dlatego, że czasami myślę o dylemacie bohatera, który nie bardzo wie, w którym to momencie winien odłożyć strzelbę czy gitarę, aby nie było mu to poczytane za zdradę ideałów. Jesli zgłynie z tym w rękach, to jest fajnie... A jeśli nie, to jak godnie zakończyć?

Muzyka, o której cały czas tu mówimy wydaje się, że doszła już do pewnej bariery, ściany. Do jej pokonania będzie potrzebna nowego wysiłku, a być może nowej, zupełnie odmiennej „filozofii”.

Dyskusję prowadził i opracował: **KAROL JÓZEF STRYJSKI**



TRWAJA gorące dni w Teatrze Wielkim. W minioną sobotę 7 maja odbyła się tam premiera baletu „Coppelia” L. Delibes. W dniach 15-31 maja trwać będą **Lódzkie Spotkania Baletowe** z bardzo bogatym i różnorodnym programem, z udziałem wielu wybitnych zespołów krajowych (zespół Teatru Wielkiego z Warszawy, Balet Poznański, Opera Bałtycka, Wrocławski Teatr Pantomimy) i zagranicznych (zespół baletowy „Győr” z Węgier, „Junior” z Holandii, balet opery z Lyonu i zespół baletowy z Leningradu). Jednocześnie przygotowana jest na czerwiec kolejna premiera. Będzie to „Eugeniusz Oniegin”.

2 MAJA w Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarta została wystawa reprintsów Wydawnictw Artystycznych i Filmowych. Organizatorem wystawy były: Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe — Warszawa, Muzeum Historii Miasta Łodzi i PP „Dom Książki” w Łodzi.

6 MAJA, w gmachu Wydziału Architektury Politechniki Łódzkiej otwarta została wystawa książki technicznej. Na wystawie zaprezentowano 300 książek z zakresu architektury budownictwa, inżynierii środowiska i elektrotechniki.

Ekspozycji towarzyszą dwie wystawy fotograficzne ukazujące osiągnięcia techniki francuskiej, a także mało znana u nas architektura glinianą.

W MINIONĄ sobotę, 7 bm, odbyła się w Widzewskim Domu Kultury i giełda sztuki — prac i wyrobów artystycznych absolwentów i studentów PWSSP. Podczas giełdy można było objrzeć, sprzedać i kupić obrazy, grafiki, biżuterię, tkaniny i ubiory.

4 MAJA, w związku z obchodami Dni Kultury, Oświaty Książki i Prasy odbyło się spotkanie młodzieży i pracowników kultury Sieradza z pisarzem **Igorom Sikirykim**. Igor Sikiryki mówił o swojej drodze do literatury i o 40-letniej już pracy literackiej. Odpowiadał także na pytania słuchaczy.

W WYTWORNI Filmów Oświatowych powstaje film z okazji rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem „Na odsiecz Wiedniowi — 1683”. Premiera zaplanowana jest w telewizji polskiej i austriackiej na dzień 12 września 1983 roku. W filmie grają Jerzy Bińczycki, Karol Strasburger, Jerzy Trela, Leon Niemczyk i Emil Karewicz. Scenariusz napisali i jednocześnie reżyserują film — **Lucyna Smolińska** i **Mieczysław Sroka**, Operatorem jest **Włodzimierz Precht**, scenografie opracowała **Marta Woźniakowska**, kostiumy przygotowała **Ewa Jurczak-Gralak**.

REPREZENTACYJNY Zespół Pieśni i Tańca Włókniarzy „Poltex” udaje się do Turcji. Zaproszony został na Międzynarodowy Festiwal Folkloru w Istambule Zespół na tę okazję przygotował nowy program, na który składają się tańce sieradzkie, pieśni i tańce Beskidu Śląskiego oraz widowisko sobotkowe.

DN. 14 maja 1983 r. w Dużej Sali Teatru Nowego odbędzie się premiera „Tanga” Sławomira Mrożka w reżyserii Wojciecha Piłarskiego, ze scenografią Iwony Zaborowskiej.

W spektaklu Teatru Nowego udział biorą: **Maria Białobrzaska, Barbara Olszańska, Danuta Rynkiewicz, Ludwik Benoit, Janusz Kubicki, Marek Lipski, Bogustaw Semoliuk i Jacek Pawlak.**

Premiera połączona będzie z otwarciem wystawy poświęconej polskim i światowym inscenizacjom sztuk Sławomira Mrożka.

DN. 7 maja 1983 r. w Małej Sali Teatru Nowego odbyła się premiera sztuki **Noëla Cowarda** pt. „Seans”, w reżyserii **Marii Kaniewskiej** — ze scenografią **Jolanty Kunkei**.

Komedia ta, jedna z klasycznych pozycji słynnego angielskiego humoru współczesnego, bardzo szybko zdobyła międzynarodowe uznanie. Jej role odtwarzali najslawniejsi aktorzy scen europejskich.

W łódzkiej inscenizacji udział biorą: **Janina Borońska, Grażyna Czaplanka, Teresa Makarska, Krystyna Tołewska, Barbara Walkówna, Dymitr Holówko i Piotr Krukowski.**

Wirydarz poetycki

Feliks Rajczak

* * *

1. Kary koń baroku w bramę tryumfalną wjeżdża kopytami tłukąc o kamienie

2. A za luknem bramy s czarnego marmuru niebo błękitnie suknią Panny Marii

3. Łakną tej pogody co przeszła nad miastem i spoczywa w plachu przy nadmorskim brzegu

4. Pień w niej radości sumienia czystego Pomógł się wraz ze mną o pokój na morzu

Odczytywanie ekslibrisu

Stawomirowi Iwańskiemu

Lucja odczytuje twój ekslibris: Modlitwa o nieśmiertelność. Albo lepiej: Modlitwa o doskonałość. Modli się o to moczny człowiek, taka silna osobowość spracowanych rąk. Księżyce nad Wawelem. Jak ekslibris zamknął nie napisaną książkę o przywiązaniu.

Kraków, 10. VII. 1981

Marek Błaszowski

* * *

Kiedy latarnie gną się przed świtem Woale wiatru szeroko gasną Stuk się wylewa w puste ulice Rycerze Smoka jadą przez miasto

Parskają konie Srebrne pancerze milczą jak kraby z luster wykute Księżniczka niegule śladem Rycerzy bo szuka Pana — żółwia w skorupie

Parskają konie i smoczy oddech podrywa miasto w balowym szale tak tańcza sereca jak zle pochodnie i pośmiertnie lśni w karnawale

tak tańcza sereca jak mleczą zbroje i gną się usta w płynnym obrazie i jak się strząsa smoczym patrolom który ma blachy, blachy nie twarze

Błędna Księżniczka biegnie za Panem posłusznie składa wytarte usta i depcze kwiaty zmierzchem zasiane wpadając w srebro smoczego lustra

Wtedy Jej Rycerz na koniu białym wysnuwa się cieniem za drzew Ma w sercu — spojrzcie Pani! Spojrzcie — chłodne jak krew

Lecz podnieść miecza nie starcza mocy nie starcza w pustce walczą o miłość tylko bezwładnie Smok się przetoczył i było cicho, zwyciężają było

Nie spadła blacha z kukły glinianej lśni męstwo twarzą lustra skorupy Księżniczka dalej kłęczy przed Panem Parskają konie, stukają buty

A jemu wilgoć, kręte uliczki i blask za chłodny knoego oka W nim szuka siebie, zmierzchów Księżniczki I tutaj czeka by zabić smoka.

Kiedy latarnie gną się przed świtem Woale wiatru szeroko gasną Stuk się wylewa w puste ulice Rycerze Smoka jadą przez miasto.

13. 04. 1983 r.

Dotyychczas, w tych comiesięcznych sprawozdaniach „z księgarskiej ludy”, opisywałem bestsellery głównie z zakresu literatury pięknej — takie są zresztą przedstawienia większości odbiorców książek. Trzeba jednak powiedzieć, że tytuły z tego zakresu stanowią, mniej więcej, jedną szóstą całości inicjatyw edytorskich naszych wydawnictw, czyli tylko co szóstą książkę to powieść, wybór poezji bądź zbiór opowiadań. Inaczej — rzecz oczywista — kształtują się te proporcje w wielkości nakładów. Te — przynajmniej w odniesieniu do kilkunastu tytułów klasyki polskiej i światowej — były stosunkowo wysokie. Już nie będę dodawał, że ilość odbiła się na jakości, że wydawnictwa, chcąc sprostać rządowym założeniom zalecającym zwiększenie produkcji książek o 25 procent, musiały jednocześnie zrezygnować ze znaczącego procentu tytułów itd.

Jak to będzie w roku 1983? (Właśnie w kwietniu zaczęły się pojawiać książki z datą 1983). Przeglądając ostatnio plany dwóch czołowych naszych oficyn: Wydawnictwa Literackiego i Państwowego Instytutu Wydawniczego. W porównaniu z dawnymi laty są wyraźnie skromniejsze: mało literatury przekładowej, a i nowości literatury polskiej można by policzyć na palcach dwóch par rak; serie wydawnicze — te najbardziej peszykiwane — kontynuowane będą przez dwa, trzy tytuły; nie lepiej rysuje się sytuacja ze wznowieniem klasyki. Nakłady owszem — spore, czyli — w porównaniu z rokiem ubiegłym — bez zmian.

Wprawdzie to tylko dwa wydawnictwa, nie sądzę jednak, aby w pozostałych było inaczej. W sumie zatem na poprawę przyjdzie nam jeszcze poczekać. Czekajmy więc, świętując skromne tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy.

Na półce kwietniowych nowości, którą chcę zaprezentować, przeważają tytuły z zakresu literatury naukowej i popularnonaukowej. Wspominając więc tylko wznowienie „Zamku” Franzy Kafki (Czytelnik, seria „Nike”, nakład 30 tys., cena 180 zł), nowa książka „Jorge Luisa Borges” (Zoołogia fantastyczna” w przekładzie Zofii Chądźniskiej) — opis synnych, imaginacyjno-mitologicznych zwierząt, oraz mikropowieść Erskina’a Caldwell’a „Ostatnia noc lata” (KAW, 100 tys., cena 40 zł), przełożona przez Kazimierza Piotrowskiego, przechodzą do książki, które choć nie są popularnymi bestsellerami, podobnie jak one, były sprzedawane od ręki.

Do grupy dzieł znaczących w polskiej historiografii zaliczyć trzeba ośmiusetstronicową książkę Stefana Kieniewicza „Powstanie styczniowe” (PWN, 30 tys., cena 400 zł). Wprawdzie jest to drugie wydanie (pierwsze ukazało się w roku 1972), więc moja informację mógłbym ograniczyć do jednego zdania, jednak myślę, iż obecny czas dowartościuje tę książkę w sposób szczególny. Rocznicą, która w tym roku obchodził, wywołała istną lawinę różnorodnego typu wypowiedzi publicystycznych: od konwencjonalnych przypomnień do historyczofizycznych uogólnień. Nie brakło też bala-mutnych prób porównań ponadhistorycznych, powierzchowych aluzji do czasu teraźniejszego, które są tyleż efektywne co fałszywe. Dobrze więc, że wznowiono tę ważną książkę w godziwym nakładzie, książkę, która jest nie tylko historycznie mikrospokopową obserwacją wydarzeń sprzed stu lat, ale także zapisem świadomości narodu walczącego w obronie swej tożsamości, nie tylko szczegółowa i kompletna monografia powstania, lecz również biografia całego pokolenia, które tego niepodległościowego zrywu dokonało.

Po rocznej nieobecności na rynku księgarskim PIW-owskiej serii „Dzieje Cywilizacji”, popularnie zwanej „ceramow-ską”, w kwietniu otrzymaliśmy, wydaną w jej ramach, książkę Petera H. Bucka „Wikingowie Paeyfiku” (20 tys., nakład, cena 250 zł.). Jej autor, nowozelandzki Maorzy, zrazu lekarz i polityk, podjąwszy współpracę z Muzeum w Honolulu poświęcił się potem całkowicie badaniom etnograficznym i archeologicznym tzw. trójkąta polinezyjskiego. Książka przynosi historię cywilizacji wysp polinezyjskich, dziejów ich zasiedlenia, a także

interpretację przejawów tamtejszej kultury, zarówno materialnej jak i duchowej. Podobnie jak poprzednio wydawane odczytanie z tej serii i te książki można polecić szerszemu kręgowi odbiorców, bo nie jest tylko obiektywnym i kosztownym opracowaniem naukowym.

Problematykę kultur starożytnych i cywilizacji pozaeuropejskich podejmuje także seria książek Wydawnictw Artystycznych i Filmowych z główką Nefretete. Staranne wydawane, w dużych nakładach, bogato ilustrowane, są te książki jednym z najszybszych pomysłowych edytorskich naszych wydawnictw. O ich popularności świadczą także liczne wznowienia. Oto właśnie w kwietniu mogliśmy kupić Jolanty Młynarczyk „Sztukę Cypru” (20 tys., cena 100 zł.), syntetyczną monografię o popularnonaukowym charakterze, która obejmuje dzieje sztuki tej wyspy od czasów najdawniejszych do wiek XVI. „Położenie geograficzne — pisze wstępnie autorka — dało wyspie możliwość czernienia z wielu źródeł inspiracji artystycznych. Czasem nawet zbyt

Kwietniowe bestsellery

GRZEGORZ GAZDA

wielu (...) Niekiedy zaś inspiracja obca trafiając na podatny grunt dawała początek świetnemu rozwojowi nowej dziedziny twórczości”.

Kolejna książka, którą chcę przedstawić zaczyna się jak jakie „Sześć dni Kondora”: „Pewnego słonecznego poranka 1965 roku przed hotelem New Winter Palace w Łukoszu dwóch mężczyzn wsiadło do czarnej dorożki”. Jednak nie jest to początek szpiegowskiej afery, a punkt wyjścia do równie emocjonującej opowieści, „biografii archeologicznej” — jak głosi podtytuł — napisanej przez Philippa Vandenberg’a, zatytułowanej „Nefretete” (WAI, 20 tys., nakład, 180 zł.) Wydawnictwo — jak przypuszczam — wychodząc z założenia, że należy się wreszcie jakaś rekompensata dla tej „nieopisanie pięknej i nieopisanie uwielbianej” królowej sprzed wieków przed-narodzeniem Chrystusa (jej wizerunek wykorzystuje WAI na swoich okładkach od lat) — przekazuje tę książkę, której sam oświadcza, że jest w stanie zainteresować każdego. Oto kilka tytułów rozdziałów z „biografii” Vandenberg’a (przykład Janiny Kumanieckiej): Historyczny list gończy. Zagadka lewego oka Nefretete. Kobiety na waga złota. Teś się gniewa. Echnaton w świetle psychoanalizy. Rytualne spółkowanie itd. itd. Książka zaopatrzona w wykresy, mapki, tablice chronologiczne oraz liczne rysunki i reprodukcje jest, mimo bulwarowych chwytów w tytułach, pasjonującym wykładem historyczno-archeologicznym o wysokich walorach poznawczych.

Kontynuując ten kwietniowy przegląd, który — jak widzę — staje się kiermaszem Wydawnictw Artystycznych i Filmowych polecam dwa kolejne tytuły. Pierwszy to Federico Felliniego „Scenariusze” (nakład 10 tys., cena 300 zł.). Opałszy tom, przeszło sześćsetstronicowy, zawiera teksty scenariuszy czterech najbardziej znanych filmów tego klaszka współczesnego kina: „La strada”, „Słodkie życie”, „Osiem i pół” oraz „Amarcord”. Choć każdego z nich Fellini jest współautorem, jego nazwisko firmuje te teksty. I słusznie. Nie jest to bowiem w żadnym razie literatura wysokiego lotu (porównajmy ze scenariuszami Ingmara Bergmana) i to, że będziemy ją czytać, sprawiły filmy, które wydawca przypomina licznymi fotofotami. Wartość samą w sobie tej książki stanowi wstępny esej Marii Kornatowskiej.

Drugim tytułem z kwietniowej półki, także filmowym jest książka Eweliny Nurczyń-

skiej-Fidelskiej „Andrzej Munk” (Wydawnictwo Literackie, 3 tysiące nakładu, cena 70 zł.) Książka ta zasługuje na uwagę z wielu względów. Po pierwsze dlatego, że realizuje założenia autorki: „próba określenia i interpretacji twórczości Andrzeja Munka, przeprowadzona drogą odkrywania tych jej cech, które przy samej filmowej autonomii byłyby dowodem integralnych związków z polską kulturą w ogóle a literacką w szczególności”. Po drugie, że wypełnia istotną lukę w naszej kulturze filmowej która mimo wszystko cierpi na niedostatek solidnych i rzeczowych interpretacji powojennych osiągnięć polskiej kinematografii. Szkoda tylko iż analitycznemu opisowi oszczędnym filmów autora „Zezowatego szczęścia” nie towarzyszą zdjęciowe cytaty, które w każdej filmoznawczej pracy pełnią rolę istotnego argumentu potwierdzającego interpretacyjny wykład.

Przed kilku tygodniami „Polityka” zemocjonowała nas informacją o edycji dzieł Witolda Gombrowicza. Ktoś je widział już podobno na warszawskim Wolnymieście za 12 tysięcy złotych. Dając odpór plotce bądźmy cierpliwi (notabene po przejrzaniu planu wydawniczego krakowskiego WL zacząłem wątpić w tamtą zi-powiedź: nie ma śladu Gombrowicza) i czytamy o autorze „Ferdynand”. Oto właśnie nakładem PIW ukazała się bardzo gruba książka Jerzego Jarzębskiego „Gra w Gombrowicza” (10 tys., cena 180 zł.). Ową dziesięciotysięczny nakład jest swoistym ewenementem w dotychczasowej polityce wydawniczej, bo jest pracą Jarzębskiego naukowym studium, które nie pretenduje do roli monografii pisarza, ani całościowego opisu jego twórczości. Ta rozprawa teoretycznoliteracka, wzbogacona o analizy „Ferdynand”, „Parnografii”, „Transatlantyku” i „Kosmosu”, przedstawiająca „postawę gombrowiczowską” wobec świata, człowieka, sztuki i wartości wymaga od czytelnika literaturoznawczego przygotowania.

Natomiast znacznie szerszy krąg odbiorców można wróżyć książce Stanisława Stabryły „Hellada i Roma w Polsce Ludowej” (WL, nakład 5 tysięcy, cena 230 zł.) i to nie ze względu na temat — kultura i literatura antyczna, a w prezentowanej książce — jej recepcja w polskiej literaturze powojennej, nie należą (niestety, dodajże profesor Krawczuk) do problemów, którymi współczesny czytelnik chciałby się emocjonować — ale ze względu na przystępność autorskiego dyskursu. W roku 1933 ukazała się znakomita praca profesora Tadeusza Sinki „Roma i Hellada w Polsce”. Stanisław Stabryła postanowił tamte badania kontynuować, ponieważ „inspiracja antyczna przyniosła w 30-leciu literaturze polskiej szereg wybitnych dzieł, reprezentujących wszystkie chyba gatunki literackie, poczynając od liryki, a skończywszy na esejistyce literackiej i tzw. literaturze faktu”. Przedstawia więc autor, oprócz przeglądu głównych kierunków badań nad antyką w Polsce, bardzo rozległą i szczegółową panoramę utworów, odwołujących się poprzez fabuły, motywy, historię, biografie bohaterów i postaci dzieł grecko-rzymskich do kultury, która dała podstawę dla cywilizacji europejskiej. Nie o czystą rejestrację i opis tu idzie. Autor bowiem dokonał analizy samego zjawiska w kontekście szerszym niż literatura polska.

Na koniec, zatem w kilku zdaniach, informacja o pozycjach, których nie trzeba specjalnie polecać. Seria Biblioteki Narodowej, zarówno ta — poświęcona literaturze polskiej, jak i ta — prezentująca literaturę powszechną, mimo swojej naukowej oprawy, dawno przestała być serią dla wrażliwych, o czym świadczą nakłady. I tak „Wybór poezji” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (w opracowaniu Marty Wyki) wydano ostatnio w nakładzie 50 tysięcy („Osso-lineum”, cena 160 zł.), a „Wybór pism” Francesco Petrarke (opracował Kalikst Morawski) w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy (cena 160 zł.)

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

POCHWAŁA CZYTANIA

Na dzisiejszą porcję Bigosu składają się facecje, aforyzmy, anegdota i wiersze na temat książki. Pora po temu „osobna, jako że w maju zwykle obchodzone są Dni Oświaty. Książki i Prasy. Przed laty, w 1958 r. ukazała się obszerna antologia tekstów o książce „Kto mituje księgi”, zebrana i opracowana przez bibliotekarza i bibliofila Marcelina Poznanskiego (1893-1956). Proszę by szukać zamieszczonej poniżej tekstów w antologii Poznanskiego, być może więc tym bardziej zainteresują one naszych Czytelników. A że w maju mia 100 rocznica śmierci Cypriana Norwida, zaznaczmy od przypomnienia pełnego wdzięku czci-wiersza Poety:

Dobrze jest mieć w rękach autora, Kiedy się czyta — coż za rzecz przedziwna Czytanie! — jako gajzaka oliwna Lub migdałowy kwiat.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI O KSIĄŻKACH

Autor „Starej baśni” był nie tylko jednym z najpłodniejszych pisarzy polskich, lecz także nie-przeciętnym bibliofilem. Jego ze znanstwem gromadzone księgozbiory trafiły po latach do Cieszyna, gdzie stanowił dziś Oddział Zabytkowy Biblioteki Śląskiej. Pisarz wielokrotnie pisał o księgach i o bibliotekach w swoich powieściach i artykułach. „Ze wszystkich zabytków, stara książka stanowi najdroższy, najgodniejszy pozostawienia. Jeżeli każdy szczerze jest relikwią, ona jest relikwią najcenniejszą... Przeszła przez wiele rąk, karmiła i poila pokolenia, rozdziła myśli, została na niej ślady lez, przyszyły westchnienia... Ze wszystkich oklad w życiu najboleśniejsza zawsze było dla mnie pozbywanie się kochanych, starych moich książek. A ileż ich przeszło przez ręce moje cenny, najcenniejszy — aż do „Panoszy” Paprockiego, aż do pierwszych wydań naszych poetów... często nierozważnie na wagę złota nabywanych, a potem w ciężkiej potrzebie za bezcen pozbytych... Dział u mnie pozostały jedynie szczerki zbiorów dawnych, ale wśród nich są rzeczy cenne. Gdzie się ja z tym teraz podziwie?”

„Książka nie tyle nas sama uczy, ile do rozwinięcia naszego pomaga, budząc to, co w nas spoczywa”.

„Komediani!” (1851)
„Jest-li co by przeszłość i tradycje rodu ludzkiego przechowywało lepiej nad księgi? Nie obowiązek-że święty ochraniać je od zagłady choćby wielką ofiarą? Dają medale za ocalenie życia, ja bym równie nagradzał za wyratowanie życia tego, które jest w każdej książce”.

MYŚLI O KSIĄŻCE

Kalikst Pawłowski (1790-1864) był nie tylko kapitanem wojsk polskich za czasów Królestwa Polskiego, lecz również poetą, którego wiersze nie przyniosły mu wreszcie sławy literackiej, o czym świadczya próbki wybrane z wydanego w 1839 r. „Zbioru myśli wierszem”:

Można z książek największe czerpać wiadomości, Ale kto w życiu swoim zaniedba pilności; A myślim nie położyć stałych zasad, granic, Dla tego wszystkie dzieła przydadzą się na nic.

Kto chce rozsądnie prawić, niechaj z książek prawić, Bo ta, nie tylko, że nas z przyjemnością bawi, Lecz razem i naucza przez zdrowy rozsadek, Jak w mowie nadawać wyrazom porządek.

Komu się dobra książka do ręki dostanie, Ten sędzi, że rozkosze dzieła z nim niebianie.

ANEGDOTA NORWIDA

W lecie 1841 r. Cyprjan Norwid i Władysław Wężyk (znany nam już z poprzedniej porcji Bigosu) wybrali się w podróż w Lubelskie, Wieluńskie, i Sieradzkie. Gdzieś na szlaku wędrowki spotkała ich przgoda przypominana w 1887 r. przez autora „Zwolona”:

„Teżo roku podróżowałem po Polsce — dwóch nas było: sp. Władzio Wężyk i ja — mieliśmy z sobą kilkadziesiąt tomów, książek, mianowicie historii dotyczących kronik i pamiętników. Szlachcie jeden, bardzo szanowny obywatel i dobry sąsiad, i dobry patriota, zobaczywszy podróżną biblioteczkę naszą ruszył głową i mruknął: „To chyba nie daje!”

Wszelako jednego razu tenże sam, w żółtym szlafroku, w czapce z guzikami na szczycie głowy i z fajką na długim przedziurawionym kijku, wchodzi do nas: „Oto (powiada półgębkiem i przez ramie) dajcie mi też jaką książkę z brzegu, bo idę spać do ogrodu”.

Bratem przeto z brzegu książkę i podawałem ostrożnie obywatelowi, tak jako w kwarantannie podaje się z rąk do rąk, ile możności dotknięcia osoby unikając.

I widziałem tylko tył osoby poważnej w szlafroku żółtym popstrzonym w duże kwiaty piwonii — rzecz ta wychodziła z książki w reku, a po niedługim przelągu czasu, widziałeś też samą postać na trawniku snem ujętą”.

KSIAŻKI

Są książki dumne, zamknięte w sobie; Gdy raz ich treść odczytacie — Myśl wasza błądzić będzie w żalobie, Jakby po złudzeń utracie...

Są książki inne — szczerze, otwarte. Co idą z nami przez życie; W nich — myśli własnych czytamy karmić I serca słyszemy bicie

A. Kraushar, Strofy jesienne, Kraków 1903.

ODPOWIEDZ SAPIEHY

Gdy Janowi Saniesze, kanclerzowi Wielkiego Księstwa Litewskiego, powiedziano, że pewien pan bardzo piękna bibliotekę posiada, ale żadnej książki z niej nie czytał, rzekł na to: „Ten człowiek jest do garbatego podobny, który garb ze sobą nosi, ale go nigdy nie widział”.

„Nowiny” 1983, nr 42.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

NR 20 [1311] XXVI 14 MAJA 1983 R.

Aby zasłużyć sobie na ludzki szacunek...

Wspomnienie o Zdzisławie Szczepańskim



Nieczęsto zdarza się, aby ktoś zajmujący eksponowane stanowiska cieszył się nowszerechnym uznaniem szacunekiem i sympatią nie mając ludzi sobie niechętnych. Nieczęsto też się zdarza, aby ktoś o nazwisku nie oszczerczym na pierwszych stronach gazet dał się poznać szerokiemu ogółowi a takim właśnie był docent Zdzisław Szczepański — rozmitowany w tradycjach polskiego obywatela historyka, nieustraszonego popularyzatora kultury utalentowanego badacza i żarliwego działacza społecznego.

przez ponad pięć lat Harcerski Dziecięcy Teatr Lalek, którego poziom i społeczna działalność wysoko oceniali łódzkie władze szkolne.

Rok 1962 stał się także początkiem Jego pracy aktorskiej w Teatrze Amatorskim „100 krzesel” Grał w sztukach Czehowa, Kruczkowskiego, Arbuzowa, Pasternaka, Ghelderode’a, Mrożka i innych. W odwołującym się co dwa lata w Stalowej Woli festiwalu „Teatr robotnicze — ludziom pracy” otrzymał I nagrodę aktorską za rolę: Willy’ego w „Niemcach” Kruczkowskiego (1962), kapitana Rosłana w „Pierwszych ludziach” Pasternaka (1966) i Galguba w „Szkoła błaznów” Ghelderode’a (1969).

Rok 1971 przyniósł w działalności zawodowej Zdzisława Szczepańskiego istotne zmiany. Urlopowany z pracy w szkole, pełnił obowiązki instruktora do spraw oświaty w Komitecie Dzielnicowym PZPR Łódź-Widzew skąd po trzech latach wrócił do zawodu nauczycielskiego, jako nauczyciel historii w XXIII Liceum Ogólnokształcącym. W tym właśnie okresie zaczął przejawiać szczególne zainteresowanie dziedziną robotniczego Widzewa. Podtrzymał je i rozwijał przechodząc w 1977 roku do pracy w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi na stanowisku etatowego sekretarza organizacji partyjnej oraz wykładowcy socjologii kultury i historii polskiego obywatela.

Był organizatorem, scenarzystą i reżyserem wielu widowisk w Amfiteatrze Widzewskim. Dwa z nich — „Ojczyzna” w 1975 roku i „Mój wycieczny dzień” w 1979 roku (1980) spotkały się ze szczególnym uznaniem robotniczej widowni. Był także autorem wydanej w 1978 roku przez Krajową Agencję Wydawniczą popularnonaukowej publikacji „Widzew” oraz autorem scenariusza i komentarza filmu dokumentalnego „Widzew” w reżyserii Wojciecha Leszczyca.

Zainteresowania posiadał rozległe. Na zaproszenie Filмотeki

Polskiej, z okazji jej 25-lecia, wziął udział w sesji naukowej wygłaszając referat „Pola Negri i Helena Makowska — osiągnięcia polskich aktorek w sztuce kina lat dwudziestych”.

Nadszedł rok 1980. Uczelnia, jak i cały kraj, stała się miejscem ostrego sporu politycznych, działających na rzecz naprawy i odnowy, ale także działań jednoznacznie destrukcyjnych. Jako I sekretarz uczelnianej organizacji partyjnej wziął na swe barki niemałą część odpowiedzialności za losy szkoły. Nie ograniczył się do politycznego działania w uczelni. Z jego inicjatyw wyłożyły swe siły dla podejmowania wspólnych akcji organizacje partyjne łódzkiego środowiska filmowego. Wyrwał się pracować też nad jednoczeniem i umacnianiem partyjnego środowiska kultury.

Na konferencji sprawozdawczo-wyborczej łódzkiej organizacji partyjnej delegacji gorąco oklaskiwal wygłoszone z pasją przemówienie dotyczące stanu i potrzeb kultury. Wzwał do wstąpienia do Komitetu Łódzkiego, powierzonemu stanowisku sekretarza propagandy, wybrano delegatem na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR.

I wtedy właśnie dosięgła Go pierwszy atak choroby, jak się później okazało, śmiertelnej. Nie uczestniczył w zjeździe. Wyszedł ze szpitala bardzo osłabiony, a stanowisko, które sprawował i czas, w którym działał, wymagały intensywnej pracy.

W ostatnich dniach grudnia 1981 roku wrócił do uczelni na stanowisko prorektora i sekretarza naukowego Instytutu Teorii i Historii Filmu i Telewizji.

Nie oszczędzał się. Podjął trud modernizacji struktur organizacyjnych szkoły i samego procesu nauczania. Swoje pasje działacza politycznego, pedagoga i historyka połączył w referacie „Film a świadomość historyczna”, wygłoszonym w maju 1982 roku na sesji naukowej organizowanej przez Instytut.

Nadal pasjonował się historią filmu i działalnością popularyzatorską w tym zakresie. Tygodnik „Wiadomości Skierniewickie”

rozpoczął druk cyklu Jego publikacji pod hasłem „Świat z muzyką”. Zdażył się ukazać zaledwie dwa artykuły — o Poli Negri i Maksie Linderze. Na zaplanowane spotkanie z młodzieżą skierniewickiego Woiewódzkiego Domu Kultury z tematem „Maks Linder raz jeszcze” nie zdażył już przyjechać.

Szczególnie zainteresowanie Zdzisława Szczepańskiego dorobkiem twórczym Poli Negri przychyliło się w dużym stopniu do nawiązania przez uczelnię kontaktu z wielką aktorką i decyzji o nakręceniu filmu dokumentalnego o niej i przy jej udziale.

Zapisał się także Zdzisław Szczepański w edytorialnej działalności uczelni, aktywnie uczestnicząc w pracach komisji redakcyjnej Acta Filmologica — studiów i materiałów Instytutu Teorii i Historii Filmu i Telewizji oraz Zeszytów Naukowych PWSFTiL.

Intensywnie pracował nad pracą doktorską na temat polskiego baroku w polskim filmie historycznym. Nie zdażył jej obronić, choć była na ukończeniu. Ogromny wysiłek i równy mu dorobek nie ulegną jednak zapomnieniu. Dokończył prace — tak właśnie postanowili — współpracownicy z Instytutu.

Kochał ludzi. Zawsze pogodny, uśmiechnięty, wnoszący ze sobą atmosferę ciepła i spokoju, udzielał się innym. Pełniąc kierownicze stanowiska, pozostawał zawsze ten sam — bezpośredni, uczynny, serdeczny.

Gawędziarz niezrównany, swobodny jak rekawa przyzabawne anegdoty, których godzinami słuchać było można. Anegdoty pozostawił, ale chyba nikt, tak jak On, opowiadać ich nie potrafi.

W styczniu bieżącego roku powalił Go drugi atak choroby. Trwała krótko, niespełna dwa tygodnie. W nielicznych chwilach świadomości przywoływał na twarz ten dobry uśmiech, którym zawsze zjednywał serca otoczenia i który utrwalił się w pamięci znających Go — na zawsze.

Zmarł 4 lutego, w czterdziestym pierwszym roku życia.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Gala z powtórkami

Skromniej niż w roku ubiegłym przebiegało w Teatrze Wielkim tegoroczne święto baletu. Ograniczono się tylko do galowego wieczoru w wykonaniu polskich tancerzy. Można, że ma to uzasadnienie w zbliżającej się premierze „Coppelli”, której wystawienie 7 maja można potraktować jako wkład łódzkiego zespołu baletowego do obchodów Międzynarodowego Dnia Tańca. Z dotychczasowych obserwacji tej imprezy wynika jednak, iż gospodarze określili jej kształt w formie przeglądu i prezentacji tancerzy z różnych ośrodków baletowych w kraju, z mocniejszym zaznaczeniem baletu Łodzi. Tak też było i obecnie. Część pierwsza wieczoru obejmowała występy solistów z czterech ośrodków teatralnych — Łodzi, Poznania, Gdańska i Wrocławia. Najciekawiej wypadł Bogdan Sliwiński z Państwowej Opery we Wrocławiu, który przedstawił „Zycie artysty” Mascagniego oraz wariację księcia z III aktu „Jezióra Labędziego” (chor. Petipy). Szczególnie ten pierwszy utwór wywoływał zachwyt — tancerz dał popis swoich umiejętności, skoczności i sprawności, a nadto ogląda się tak swobodnego i pełnego gracji (jeśli wypada tak mówić o mężczyźnie), tancerza. Swoim występem Sliwiński wystawił piękną laurkę macierzyństwu zespołowi, który miał w Łodzi dwa dobre występy: w 1981 roku na VI Spotkaniach Baletowych, oraz równo rok temu, kiedy podczas Międzynarodowego Dnia Tańca prezentował urzekające „Narcyza” Szymanowskiego (chor. T. Kujawy) w wykonaniu E. Zajęcy i Fr. Knapika. Już po występie dwa lata temu można było przewidywać wrocławskiemu zespołowi szansę zdystansowania innych ośrodków, co niestety, nie sprawdziło się, choć występ Sliwińskiego budził znowu takie nadzieje. Na widowni oglądał ten wieczór dyr. Pietras — jest więc duże prawdopodobieństwo, że wychwycił najzdolniejszych i będzie ich zapraszał do Łodzi, jak to miało miejsce z M. Stasiewiczem.

Tegoroczna Gala może niezamierzenie, ale stała się dobrą okazją do weryfikacji pewnych obiegowych opinii na temat tancerzy i zespołów. Otóż casus Sliwińskiego, a zatem pośrednio zespołu z Wrocławia nie był jedyny, bo i w łódzkim baletcie znalazł się długo „poszukiwany” solista, co potwierdza powiędzenie, że pod latarnią najciemniej. Kazimierz Wrzosek, kierownik baletu TW był znany szerszej publiczności przede wszystkim ze znakomitego partnerowania solistkom. Tymczasem w „Medei” Lucjuka (wznowienie w 1975 r., przeniesione z Poznania), narazie widzieliśmy bardzo dobrego i dojrzałego solistę, z dużą wrażliwością kreującego partię Jazona. Medej tańczyła E. Wycichowska, o której sztuce pisano wielokrotnie i z należytymi zachwyta. Wydaje mi się, że zdolności K. Wrzoseka są niewłaściwie wykorzystywane i kształtowane (może przez niego samego?). Ani praca choreograficzna („Zaproszenie do tańca” — Webera w 1982 r.), ani ograniczenie się głównie do partnerowania, nie pozwalają mu na zaprezentowanie swojego kunsztu i umiejętności, które nie rozwijane będą zatrzymywały rozwój artystyczny tego tancerza. Narzekamy na brak solistów — wykorzystujemy talent K. Wrzoseka lepiej niż dotychczas, wszakże sam Stasiewicz to za mało!

Snując refleksje nt. tancerza TW nie mogę pominąć zespołu, którym on kieruje. Kończąc i część programu „Mazur” ze „Strasznego Dworu” (chor. Zb. Kiliński) w wykonaniu trzech par i baletu okazał się w rzeczywistości mazurem strasznym. Powinam się w tej chwili zdobyć na większe poczucie humoru, niż mi dane i napisać, że był to taniec charakterystyczny, szczególnie w odniesieniu do jednego z tancerzy. Stworzył on postać, która bez odrobiny wdzięku i fantazji, siarczystości przytupiając obijała partnerkę. To była karykatura tancerza, który z polską sylwetką bez żenady występuje pod szyldem TW. Nieudany był ten występ, począwszy od wykonania, a ha strojach skoczniejszy. Przypominały one bardziej ciuchy od plastików niż narodowe ubiory. Gdzieś jest nasza polskość w tym występie zagubiona i tego się Montuszo chyba nie spodziewał. Ten niewydarzony i częściowo złośliwie rozniewiany przez tenże sam łódzki zespół po przerwie, kiedy na scenie pojawiła się Medea, „Medea”, balet T. Kujawy, weszła do repertuaru TW 20.06.82. I choć już ponad pół roku jest wystawiana, to jej wielkie wartości artystyczne będą zawsze wystarczającym powodem do zainteresowania tą realizacją tych, którzy mają możliwość jej obejrzenia. W przedstawieniu tańczyli: Glauc — G. Popławska, Absyrtos — T. Łukaszyński, Ajzon — B. Jankowski, Pellady — D. Gutek, M. Siadysz, synowie Medei — R. Kościółek, T. Łukaszyński, Hekate — K. Knol. Ten ostatni rozpoczął też I część wieczoru tańcząc z L. Kowalską, duet Prozerpiny i Plutona z „Orfeusza” Monte-Verdiego, wystawione w 1975 r. na scenie TW w chor. Ericka Waltera. Adagio z tego baletu prezentowała w ub. roku L. Kowalska z K. Wrzosem, również na Gali z okazji MDT. Jak widać, jest to repertuar żelazny TW, czemu w przypadku tego akurat baletu nie jestem przeciwna. „Orfeusz” zasługuje na takie prezentacje i nie tylko epizodyczne. Na marginesie tego galowego rewanżu uwaga — może należałoby od czasu do czasu coś wznowić? Do teatru przychodzą i młodzi, którzy nie mieli okazji widzieć ani słyszeć zarówno wybitnych, jak i dobrych realizacji. Przecież nie są one utrwalone na filmach, nie ma archiwum, gdzie magazynowalibyśmy wizualną pamięć dobrych przedstawień. A skoro nie ma taśmy — niechże choć raz na jakiś czas pojawi się wznowienie!

Ta relacja, choć tyle w niej miejsca poświęcałam dwóm ośrodkom baletowym, nie byłaby kompletna bez pobieżnego chociażby omówienia występów innych tancerzy. A zatem przede wszystkim — Gdańsk, Gdańsk, który ma i dobrą szkołę baletową i zbiera już międzynarodowe laury. Z Opery Bałtyckiej przyjechała: Mariola Lebeda z Wiktoorem Iluchinem oraz Izabela Kwieciń i Andrzej Bujak. Para druga tańczyła pas de deux z „Córki źle strzeżonej” w chor. P. Smoka wg Ashtona, wnosząc mimo braku tej otoczki, jaką jest zespół i scenografia, dużo humoru, co jest zastrzeżeniem i wykonawców, i choreografa. M. Lebeda z W. Iluchinem przedstawili natomiast pas de deux z „Korsarza” w chor. M. Petipy. Partnerkę Iluchina, ubiegłoroczną laureatkę I nagrody IV Ogólnopolskiego Konkursu Tańca i Choreografii, publiczność łódzka oglądała już na baletowej gali w grudniu ub. roku. Lekko jęszcze stromowana tańczyła wówczas „Giselle” i wariacje z „Rajmundy”. W tym roku pokazała już dużą dojrzałość, a nade wszystko — grację i dostojność ruchu, co przy smukłej, wysokiej sylwetce nadaje jej zarówno wdzięk, jak i arystokratyczną postać w tańcu.

Poznań reprezentowała Ewa Misterka i Wiesław Kościelak w pas de deux z „Dziadka do orzechów” Czajkowskiego w chor. B. Kasprzowicz. Nadto E. Misterka wykonała jeszcze wariacje z IV aktu „Don Kichota” (chor. Petipy), czym wywołała wielkie uznanie publiczności, podziwiającej dużą sprawność jej nog.

I to by było na tyle, czyli na jeden galowy wieczór baletowy. No, może galowy w odniesieniu do tego spektaklu to nazwa optymistyczna i na wyrost, bo i repertuar i organizacja skłaniają do sformułowania nieco krytycznych. Przede wszystkim Międzynarodowemu Dniu Tańca w TW brak myśli przewodniej, koncepcji takich spotkań. Z dotychczasowych przedstawień wynika, że rządzi tam chaos. Ponieważ jest to impreza młoda stażem, należy jak najszybciej określić co się chce w tym dniu zaprezentować. Przedstawienia galowe poszarpane na kawałeczki przez różnych wykonawców nie są najlepiej odbierane przez widzów, niemniej jest to prawdopodobnie jedyny sposób zaprezentowania wielu tancerzy, choć przyznam że ta forma nadaje się bardziej na konkurs niż na teatralny spektakl.

ANNA MAZERANT

Na przykład „Uki-Puki”

Na kłopoty z repertuarem teatralnym dla młodych widzów uskarżamy się w Polsce od dawna, stąd niestanną penetracją utworów literackich, adaptowanych ze zmiennym powodzeniem. Okazuje się jednak, że i dziś można napisać baśni sceniczną w sposób zajmujący i zarazem pouczający, nie rezygnując z dobrej smaku i zdrowego sensu, a przy tym realizować ją czytelnie i zgodnie z artystycznymi wymaganiami sceny, jak o tym świadczy najnowsza premiera Teatru Powszechnego.

Tytułową postacią sztuki jest maipka „Uki-Puki”, pozostająca we władzy przewrotnego czarnoksiężnika; jej losy stanowią główną osnowę treści, ale niejako równolegle rozwija się niemniej ważny wątek którego centralną postacią jest królewna Kruszynka, córka wielce pocziwego i zdzielnego króla Głębika. Wszystko zresztą w zgodzie z tym, co zapowiedziano w podtytułowej baśni: „O biednej maipce, złym czarowniku, pięknej królewnie i królu Głębiku”.

Maipka tęskni za utraconą krainą beztróskiego dzieciństwa, a jej smutki rozprasza zająca Martusia, dwórka królewny, potajemnie odwiedzająca pracownicę alchemiczną czarnoksiężnika, który wieje maipkę. Królewna natomiast, w której kocha się pająk, poszukuje z woli ojca, odpowiedniego kandydata na męża, najlepiej oczywiście królewicza, żeby miał kto odziedziczyć koronę. Oba te wątki rozwijają się w dwóch miejscach akcji — pracowni alchemika i królewskim pałacu — ukazanych w naprzemiennych odsłonach które pięknie i pomysłowo odgradza opuszczana i podnoszona zamkowa krata, zwana broną.

Otóż wątki te splatają się z sobą coraz ściślej za sprawą machinacji czarnoksiężnika, który pragnie usidlić królewnę. Pod postacią pięknego królewicza z odległego kraju nakładają podstępem królewnę do wypicia napoju, który odmienia jej miłe i pogodne usposobienie na kapryśne i zgora jedzowate, co ma służyć zniechęceniu rywali czarnoksiężnika. Ma on wprawdzie w pogotowiu drugi napój, aby w odpowiednim momencie skierować jej uczucia na jego osobę, ale okazuje się, że dobry los potrafi pokrzyżować nieczne zamiary i sprawiedliwości stanie się zadość.

Uki-Puki wcielił się na powrót w bardzo powabną postać królewicza i poprosi króla o rękę zaccnej Martusi królewna zaś posłubi pająka. Podwójny mezalians (nie da się ukryć) ale, jak mówią słowa finałowej piosenki: „Nie ważne kto jest kto, ale co w sercu ma” Święta racja której przykłada dzieci, a dorosłym nie będzie wypadało jej zaprzeczyć...

Skracając i upraszczając fabulę wyrzuciłem krzywdę opowieści ubarwionej ciekawymi i zaskakującymi momentami, pomysłowo zaaranżowanymi sytuacjami z całym baśniowo-trickowym sztafżem wieloma zabawnie i subtelnie rozgranymi scenkami, jak choćby ta, która ukazuje dworactwo pałacowej świty.

Akcja toczy się wartko, zwalnając w scenach lirycznych lub o nastroju tajemniczym, urokliwe piosenki śpiewane są muzycznie, ruch sceniczny odznacza się wdziękiem i precyzją (jak w tańcu czworga aktorów w II akcie, po odzyskaniu przez królewnę przytomności) wcześniej zaś znakomicie wykonano piosenkę o domowych zwierzątkach, która była jednym z wielu przykładów doskonałego nawiązania kontaktu z małą widownią, reagującą z ogromnym przejęciem na sceniczne wydarzenia. Myślę, że i dorośli byli bardzo zadowoleni.

Na najwyższe pochwały zasłużył sobie BRONISŁAW WROCLAWSKI, który z istic maipją zręcznością i miękkością ruchów wykonywał arcytrudne zadania, jakby wspinanie się po (sprytnie zamaskowanych) szczeblach i kolysanie w powietrzu na jednej ręce stanowiło jego zajęcie powszednie, a w dodatku przekonująco interpretował tekst roli, wśród popiskiwań i kwileń wzbudzających odruch współczucia u każdego miłośnika zwierząt. Słowem — wyjątkowo udana antropomorfizacja.

Świetna w każdym calu, zwłaszcza we wcieleniu w kapryśną złośniczkę była MAGDALENA CWENOWNA jako królewna. Znakoomicie, z estradowym temperamentem interpretowała piosenkę: „Bo ja jestem najpiękniejsza”. Ujmująco przedstawił postać roztargnionego i dobroliwego króla — safanduli TADEUSZ SABAARA. Dużo ciepła i wdzięku miała w roli Martusi EWA SONNENBURG, demonicznie, ale z umiarem nakreślił postać Czarownika JERZY KORSZTYN, nie przerysował też HALINA PAWLOWICZ swojej komicznej roli niezbyt rozgarniętej Miss Kloosk, przezywanej kluską ale — przyznajcie dzieci! — niezbyt to ładnie podrwiwać z nazwisk, jak w ogóle z wszelkich cech „niezawinionych”. Prawda? Jak przystało na Pająka, i to ze sztuki dla najmłodszych, LUKASZ PIJEWSKI przejawiał wosze uczucia miłosne w sposób raczej uduchowiony niż męski czy choćby młodzieńczy, z czym jednak w bajkach trzeba się pogodzić.

W pozostałych, znacznie mniejszych rolach wystąpili: WŁODZIMIERZ ADAMSKI, JADWIGA SIENNICKA, MARIA WAWSZCZYK, GRZEGORZ MARCHWICKI i ANDRZEJ FOGIEL, którym należy się uznanie za rzetelne potraktowanie swoich zadań.

Wszystkie elementy realizacji tego bezpretensjonalnego, przejrzystego i z wycuciem sceny skonstruowanego utworu świadczyły o tym, iż przygotowywano przedstawienie niezwykle pieczołowicie, z całą powagą, na jaką zasługuje również — a może przede wszystkim — najmłodszy widz. Nie wątpię, że sztuka będzie się cieszyć długotrwałym powodzeniem.

JERZY KWIECIŃSKI

Michał Szopa: „Uki-Puki”. Reżyseria — Ryszard Zarewicz, muzyka — Bogdan Pawłowicz, scenografia — Tadeusz Paul, choreografia — Halina Pawłowicz. Premiera w Teatrze Powszechnym w Łodzi.

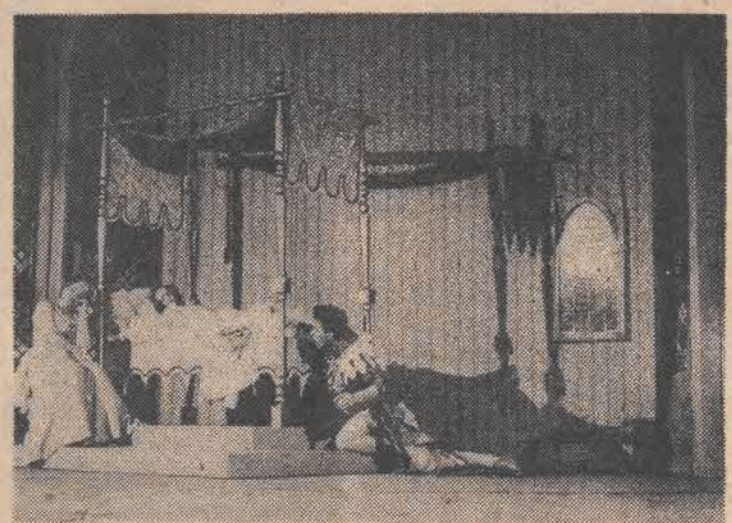


Foto: Jerzy Neugebauer

Z dziejów prasy łódzkiej

Przed 100 czy 80-ciu laty miasto było już poważnym ośrodkiem gospodarczym — i prawie że pustynią kulturalną. W porównaniu, na przykład, z Warszawą czy Krakowem, Łódź posiadała nikłą grupę inteligencji, szkodzącą ilością analfabetów i niekorzystny dla Polaków układ demograficzny: burżuazja była na ogół niemiecko-żydowska, administracja rosyjska, średni personel fabryczny — zwykle niemiecki, a inteligencja po części tylko składała się z Polaków. Władze centralne i lokalne, zadowolone z tego stanu rzeczy, różnymi sposobami tłumili przejawy polskiego życia umysłowego i kulturalnego. Polityka rusyfikacyjna okazywała się tu energiczniejsza i ostrzejsza niż w Warszawie — atmosfera w dawnej stolicy Polski była obserwowana przez świat i zaborca musiał się z tym faktem liczyć.

Pomimo tak niekorzystnych warunków polskie miejscowe środowiska inteligencji podjęły zrazu sporadyczne i niesmiałe, później bardziej skuteczne działania zmierzające do zainicjowania w Łodzi życia intelektualnego, artystycznego i oświatowego. Na dobrą sprawę wszystko należało zaczynać od podstaw — jedną z najpilniejszych spraw była konieczność powołania do życia lokalnej prasy, polskiej z języka i ducha.

O jednym z takich przedsięwzięć możemy wiele dowiedzieć się z opublikowanej pracy łódzkiego historyka dr Jana Chańko, a dotyczącej dziejów łódzkiej gazety „ROZWÓJ”. Książka jest, jak napisał J. Chańko, „próbą źródłoznawczego opracowania pojedynczego źródła prasowego w zakresie jego formy, treści i zawartości; ma ułatwić historykowi dotarcie do treści roczników „Rozwoju”, analizę wydobytą z tego pisma informacji i umo-

Cena pojedynczego numeru tej gazety wynosiła 5 kopiejek. Czy było to wiele? Raczej tak, jeśli uzmysłowimy sobie, że aby taką sumę zarobić, robotnik łódzki musiał pracować około pół godziny, a często znacznie dłużej. W napiętym budżecie domowym włókienniczej rodziny tych kilka kopiejek znaczyło dużo — skoro przeciętnie wydawała ona tygodniowo na mięso 20 kopiejek, a na chleb i ziemniaki — 2,2 rubla. W prenumeracie rocznej, wydawca słuował, co prawda, zniżką opłaty, ale w takim przypadku należało uiścić jednorazowo sumę poważniejszą.

Podstawową formą rozpowszechniania „ROZWOJU” było doręczanie go prenumeratom za pośrednictwem „roznosicieli”. Każdy doręczyciel rozprowadzał codziennie 30—50 egzemplarzy pisma. Była to trudna praca — i wyjątkowo niskopłatna. Ze swej strony niektórzy roznosiciele okazywali się niesumiennymi: nie dostarczali numerów pisma na czas, ale po kilka co parę dni, inni sprzedawali powierzone sobie gazety po cenie detalicznej. Na obszarze Łodzi można było nabyć „ROZWÓJ” w niektórych księgarniach i sklepach oraz w administracji pisma. Gazetę prenumerowali też właściciele kawiarni i biblioteki. Rozpowszechnianie pisma poza Łódź dokonywało się dwoma sposobami — prenumeraty pocztowej i sprzedaży pojedynczych numerów w miejscowych „kantarach” gazety. Zasięg terytorialny „ROZWOJU” i jego znajomość w Królestwie nie były imponujące: w 1903 r., na przykład, wysyłano poza Łódź dziennie 261 egzemplarzy gazety.

Pod względem wewnętrznego układu pisma i jego merytorycznej zawartości był „ROZWÓJ” typową gazetą o uniwersalnych zainteresowaniach. Podkreślał to jego podtytuł, który ulegając zmianom zawierał jednak zawsze co najmniej trzy przymiotniki — polityczny, społeczny, literacki; w niektórych latach ilość tych określeń dochodziła do sześciu — polityczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny, literacki, ilustrowany.

Analiza treści dziennika pozwoliła J. Chańko wyodrębnić w nim cztery stałe działy: ogólny, literacki, regionalny i ogłoszeń. Pierwszy z nich był najbardziej różnorodny, zawierał ogólnokrajowe informacje dotyczące wszelkich dziedzin życia przekazywane poprzez różne formy — od lakonicznych doniesień agencyjnych po obszernie artykuły. Redakcja często tu uciekała się do przedruków z innych czasopism. W dziale literackim znajdujemy powieści w odcinkach, na ogół autorów obcych, krótkie opowiadania, felietony i recenzje teatralne. W części regionalnej „ROZWOJU” dominowały najnowsze wiadomości z Łodzi i jej okolic, podane często bez komentarza. Wiele miejsca zajmował dział ogłoszeń — do 30 proc. objętości gazety. Tutaj reklamowali swoje wyroby fabrykanci, tutaj zamieszczano wszelkie drobne ogłoszenia, a także nekrologi.

J. Chańko poświęcił wiele miejsca wyjaśnieniu problemu stosunku władz carskich do „ROZWOJU”. Gazeta znajdowała się cały czas pod bacznym nadzorem cenzury, policji i administracji. Do końca 1905 r. obowiązywała cenzura prewencyjna — oznaczało to, że redakcja musiała przedstawić odpowiednim władzom każdy numer gazety przed drukiem. Później wprowadzono cenzurę represyjną — wydawcy mieli przedstawić tekst cenzorowi natychmiast po wydrukowaniu. Jeśli władze uznały, że w piśmie są materiały nieodpowiednie, wtedy konfiskowały numer, ewentualnie też zawieszaly pismo na pewien czas; wytaczano niekiedy procesy wydawcom. Dziennik „ROZWÓJ” i W. Czajewski, jego wydawca, doznali każdej z tych represji. Bywało i gorzej: konkurencyjny „Goniec Łódzki” został definitywnie zlikwidowany przez władze w 1906 r.

„ROZWÓJ” był gazetą pravicową, w kilka lat po założeniu wyraźnie proendekcka, chociaż nie endekcka. Stąd też jej linia polityczna miała antypostępowy — chwilami skrajny — charakter. Wyraźnie było w niej, jak zaznaczył J. Chańko, „zapobieganie i rozbijanie jedności klasowej proletariatu, zamazywanie konfliktów społecznych, zwalczanie strajków, kunktatorskie zachęcanie do kapitulacji złokautowanych robotników, podleganie do walk bratobójczych, głoszenie hasel nacjonalistycznych, antysemityzm (...) poglądy podobne nie były obce innym dziennikom polskim tego okresu, co więcej — przeważały”.

Z drugiej strony autor silnie podkreślił patriotyczny charakter gazety, jej kulturotwórczą rolę na terenie miasta. „ROZWÓJ” pozwolił uzyskać polskiej inteligencji i drobniomszczaństwu, częściowo także pozostałym grupom społecznym i przedstawicielom innych narodowości, forum na którym mogli wyrażać swe poglądy, prezentować wyniki pracy zawodowej wysuwać inicjatywy społeczne, publikować utwory literackie. Takie spokojne wyważenie oceny, przewijające się przez cały tekst, jest pozytywną stroną omawianej książki.

Omawiana rozprawa spełnia jednak w pierwszym rzędzie swój główny cel — jest starannie przygotowanym przewodnikiem dla historyka korzystającego z „ROZWOJU”. Szkoła tylko, iż monografia J. Chańko ukazała się poważnie okrojona. Autor, jak sądzi, ograniczony skromnymi możliwościami wydawniczymi, Uniwersytetu Łódzkiego, zrezygnował z zaprezentowania drugiej części rozprawy zawierającej szczegółowe omówienie stanowiska dziennika „ROZWÓJ” wobec wziętych problemów epoki oraz z aneksów zawierających m. in. rozszyfrowane pseudonimy i kryptonimy.

STEFAN M. KRAKOWSKI

Jan Chańko, Gazeta „Rozwój” (1897—1915). Studium źródłoznawcze. Łódź 1982. Acta Universitatis Lodzensis. Folia Historica 12 s. 129. Książka powstała na podstawie rozprawy doktorskiej autora napisanej na Wydziale Filozoficzno-Historycznym UL pod kierunkiem doc. dr Ryszarda Rosina.

Już po drzewach widać, że teren jest zapuszczony. Bluszcz, roślina cmentarna, wspina się po grubych pniach kilka metrów wysoko. Poza główną alejką trudno się tutaj poruszać: dziko zasiane drzewka liczą już sobie po kilkanaście lat, rosną gęsto nie zważając na to, gdzie ścieżka, gdzie grób, nie zważając na kamienne pomniki. Teren jest już dziś tak mały, że miasto przychodzi tu ze swoimi głosami. Od wschodu Aleja Politechniki, od południa ulica Piękna niosą szum samochodów. Od północy bractwo z ulicy Felszyńskiego przebiło mur w kilku miejscach. Butelki po krajowym winie, wódka jakoś chyba tu nie idzie, papierki po serkach topionych, które w czasach kartek kiełbasianych zastępowały zagrychę, reszki puszek po konserwach, jasny, zrobiony na drutach szalik starannie rozłożony na brzegu kamiennego nagrobka, świadczą o eleganckich manierach uczujących tu ludzi. W dzień można to

duchach czy też barwnej historii wspaniałego pogrzebu. A stróżuje tu od 1839 roku. Może tylko to, że w czasie wojny, za szmugiel pod Kutnem, zawędrował do gestapo na Kilińskiego, gdzie strasznie go bito. Wpadł, bo doniósł na niego znajomy Polak. Uratował go ze śmiertelnego niebezpieczeństwa ówczesny niemiecki nadzorca tego cmentarza. Skąd ten niemiecki nadzorca? Bo choć Wozniak jest katolikiem to już pół swego życia pilnuje cmentarza tych, którzy byli wyznania ewangelicko-augsburskiego.

— Pogrzeby skończyły się, jak powiedzieli, że będzie likwidacja cmentarza. I tak to stało latami, nie było tu żadnego życia, sił też powoli zaczęto brakować na dogładanie.

Decyzję o likwidacji cmentarza przyspieszyło, wystosowane pół roku temu, pismo księdza Mariusza Wernera do władz dzielnic, w którym proboszcz zapytywał czy, jeśli latami się tu nic nie dzieje, nie

stoją jeszcze bez liści. Ludzie, dużo ludzi: młodzi i starzy, z Łodzi, Leszna, Saczyna, z zachodniej granicy, robotnicy z łopatami, przedstawiciel prafii, jego dorastający syn. Samochody.

Robota trwa od rana. Grube korzenie starych drzew są tuż pod powierzchnią, łopata wchodzi ciężko w ziemię. Zawsze tu była glina, zawsze było mokro, teren nie bardzo nadawał się na cmentarz, ale ci, dla których brakło miejsca na Ogródowej, nie mieli wyboru.

Od głębokości pół metra pokazuje się woda. Gęsta, żółtawa, kleista. Trzeba wybierać wiadrem, wlewa się górą do gumniaków, oblepia spodnie, czepia się łopatą, wciąga kopaczka w głąb grobu. W centrum cmentarza, ułożone jedna na drugiej, leżą trumny, a właściwie trumienki. Wąskie, niezbyt długie, trochę więcej niż pół metra, trochę mniej niż metr, z jasnego, heblowanego, niemałowanego i nielakierowanego drewna swą niepokojącą bielą

Pozostaną tylko drzewa

Łódź, która odchodzi

spokojnie obejrzeć, po zmroku nie jest tu ani tak widno, ani tak bezpiecznie.

Tylko od strony zachodniej cicha, wąska uliczka wiodąca do położonego obok małego, husycko-kałwińskiego cmentarza przypomina wersety z Biblii:

„Dlatego uważałem zmarłych, którzy dawno umarli za szczęśliwszych niż żyjących, którzy jeszcze żyją. A za szczęśliwszego niż ci obydwa tego, który jeszcze nie przyszedł na świat”.

— Tu nikt rożny nie leży, ci ważni byli chowani na Ogródowej. Nie ma fabrykantów, wielkich przemysłowców, tu są tylko pomniejsi, zwyczajni. Zresztą to dawne czasy, już prawie 20 lat nie było żadnego pogrzebu.

Stary Wozniak chętnie opowiada o swoim gospodarstwie, siedząc pod drewnianym plotem, otaczającym jego ceglany, czerwony dom, stróża cmentarnego.

Nie trzeba przerażać się nazwą, to zwykły dom, bez duchów, upiórów, za to ze stadem kur i szczenią suką, czarnym hałaśliwym kundlem przypominającym, że życie toczy się dalej. Jest tylko na pobliskiej, czynsowej kamienicy symbol — dwa krzyże, pośrodku nich kielich — rzeźbione w murze i umieszczone wysoko, na dużej pozabawionej ciekien ścianie, wykonane jeszcze przed wojną i nie zatarte, jakimiś przypadkiem, podczas remontu.

Dozorca Wozniak nie ma do opowiedzenia żadnej wstrząsającej legendy, żadnej bajki o

można by wznowić pogrzebów. Wszystko od tej pory zaczęło się toczyć sprawnie i szybko.

Kaplica jest już prawie rozebrana. Tak samo jak dom stróża i mur została zbudowana u schyłku XIX wieku, w czasie, kiedy zakładano ten cmentarz na Wiszniewskich gruntach, w czasach kiedy Niemcy, w większości wyznania własnie ewangelicko-augsburskiego obrządku, stanowili w Łodzi około 20 procent ludności.

Mimo swych lat cegła jest dobra, zdrowa, a pracujący tu ludzie proboszcza delikatnie się z nią obchodzą. Ułożona w przymy (trafi do magazynu, a potem zostanie powtórnie wykorzystana. Może do budowy plebanii, może do innych celów w zależności od tego, ile jej będzie. I proboszcz i członkowie Rady Parafialnej chcą nową plebanii głównie dlatego, że stara — mała i brzydka — szpeci kościół świętego Mateusza, przy którym się znajdują. A to przecież jedyny dziś kościół ewangelicko-augsburski w Łodzi. Przed wojną było ich sześć. Ale i wiernych było wtedy 80 tysięcy, a nie 1500 jak teraz. Większość deklarowała narodowość niemiecką, przysłała wojna i...

Tu wspomnienia się kończą, zalega cisza, stare sprawy, było, minęło. Tylko proboszcz prosi, by koniecznie zanotować, że po wojnie żadne nabożeństwo nie odbyło się tu w obcym języku. Powtarza: w żadnym języku poza polskim.

W kwietniową sobotę cmentarz ożywa po raz ostatni. Wiosna, ciepło, drzewa stoją

odcinają się od czarnej, kwietniowej ziemi. Do nich wkłada się to, co zostało.

Ekshumacja. Czy warto opisywać? Wystarczy gdy powie się, że zostało niewiele. Minęło 20, 33, 40 lat. Obok, mimo soboty, trwają roboty przy rozbiorze kaplicy. Cmentarz umiera. Jasne trumienki, obok czarne metalowe tabliczki z nazwiskami, leżą w niebieskiej „Nysie”. W kilku turach pojedną na Zarzew, na Ogródową i Sanocką, do Leszna. Pomniki zostaną przeniesione także.

Ci, o których nikt się nie upomniał zostaną tutaj. Głęboko w ziemi, właściwie już w ziemi zamienieni! Kim byli, co robili na tym najlepszym ze światów? Nie wiadomo, można tylko powtórzyć za szwedzkim biskupem:

„Nie prosimie o to sam, aby móc tutaj przyjść. Nie byłem o to nigdy pytany”.

Nie pytano ich także o to, czy i kiedy chcą odejść.

Drzewa ocaleją, te stare, grube, wysokie, te po których pnie się bluszcz. Te, które są tu od lat kilkudziesięciu. Młode, dzikie, nieproszone, zostaną wycięte. Zostanie też brama, tyle że bez krzyża. Będzie tu park. Dla tych, co przejeżdżają Aleją Politechniki, mieszkają na Pięknej, dla tych, co przychodzą tu dziurą w murze z Felszyńskiego. Cmentarza „Wisnera” już nie ma.

KRZYSZTOF KRUBSKI



Foto: Mirosław Zajdler

Polemiki • Poglądy • Opinie • Listy

Jeszcze o sprawie

gen. Wł. Ostoi-Zagórskiego

Na wstępie chciałbym powiedzieć, że nie było moją intencją rozpatrywanie sprawy gen. W. O. Zagórskiego w jej politycznych aspektach. Po prostu był on postacią kontrowersyjną (podobnie jak i jego następca, gen. pil. inż. Ludomil Rayski). Obaj byli dowódcami lotnictwa i tylko jako tacy mnie interesują. W związku z tym posłużyłem się faktami i liczbami zaczerpniętymi z przedmiotowej bibliografii, którą to bibliografię podałem (nie została zamieszczona jako przypis do tekstu). Zatem, wszelkie pozalotnicze wyjaśnienia i uzupełnienia uznaję jako nie dotyczące mego opracowania.

Nie dotyczy go również i tytuł, który w oryginale brzmiał: „Sprawa gen. Zagórskiego z punktu widzenia historii lotnictwa polskiego lat międzywojennych i zjawisk jej towarzyszących”. Zmiana tytułu na pytanie: „Czy za złe polskie lotnictwo ponosi winę gen. Ostoja?” nadała zupełnie inny sens zamieszczonej pod nim treści. Takiego pytania zresztą by nie zadał nikt, kto zna i interesuje się historią polskiego lotnictwa.

Lotnictwo jako całość, nie jest działaniem okazjonalnym, lecz kompleksowym (nie wszyscy o tym pamiętają) i na lata. Jeden człowiek, nawet najskodliwszy nie jest w stanie go zniszczyć (na szczęście) tak w jego tradycji, myśli technicznej czy finansach (szczególnie, że jest ono związane zawsze z armią). Sprawa „złego polskiego lotnictwa” — co to za określenie zresztą? — jest o tyle prawdą, o ile prawda jest taka, a nie inna opinia o nim i jego zacofaniu prezentowana przez różnych nie znających wszystkich aspektów przedmiotu autorów. Nie mogli go zniszczyć ani W. O. Zagórski z Ludomilem Rayskim, ani sam Ludomil Rayski (później — przez 13 lat!), co sugeruje p. Pitkiewicz, posługując się zresztą obiegowymi opiniami. Temat jest złożony i nawet pobieżne jego opracowanie byłoby obszerne.

Ale sprawa zakupu przestarzałych licencji, przestarzałych maszyn (okazuje się, że jest to rzecz nienowal) wlokąca się ze względu na zobowiązania latami, rzuciła głęboki cień na rozwój rodzimej myśli konstrukcyjno-technicznej, co jest katastrofą w każdym czasie i układach.

Pozwolę sobie tu zacytować zdania prof. T. Sołtyka („Polska myśl techniczna w lotnictwie 1919–39 i 1945–62” WKŁ W-wa 1983): „Jeżeli w rodzimej produkcji będziemy opierać się tylko na wzorach zagranicznych, to z góry możemy założyć, że krajowy produkt nie będzie należał do światowej czołowi osiągnięć konstrukcyjnych... I dalej... Trzeba pamiętać, że ten, kto decyduje się sprzedać licencje na już przygotowaną nową, bardziej nowoczesną produkcję...”

Pragnąłbym do tego dodać, że lotnictwo było i jest tą dziedziną techniki, która zawsze posługiwała się najnowocześniejszymi i najkosztowniejszymi technologiami. Kto zakupując te technologie i wzory nie jest fachowcem i co gorsza nie uznaje rad fachowców, powoduje zjawiska, które opisuję.

Wracając do mego tekstu: nie powołuję się na żadne opinie gen. Rayskiego czy pil. Mrówki (nawet podkreśliłem ich stronniczość) dotyczące gen. Zagórskiego personaliter. Lecz gen. Rayski był szefem zakupów i inż. pilotem Wiedząc, że zakupy te przekroczyły znacznie założony budżet i możliwości wykorzystania sprzętu nie mogli wydać opinii pozytywnej o planach gen. W. O. Zagórskiego, i to bez względu na stosunek do jego osoby. Do tego doszła jeszcze afera „Francopolu” (jest udowodniona — zachowały się dokumenty). A że znalazło to odbicie w walce politycznej i że ukuto z tego dodatkową broń, to już zupełnie inna rzecz. Absurdalność zakupów i licencji została zresztą autorytatywnie stwierdzona przez opracowania późniejsze (i tu zachowały się dokumenty), w tym wydane ostatnio przez WIH — Komisję Historyczną Lotnictwa, więc KWESTIA kompetencji czy odpowiedzialności Zagórskiego w tym względzie jest jasna. A ponieważ sprawa ta interesuje mnie wyłącznie z jej lotniczego aspektu, uważam że opracowania za jedyne i ostateczne (np. opinia inż. pil. R. Barłta).

Opinia o Zagórskim jako pilocie, o poziomie jego wykształcenia i miejscu zdobycia kwalifikacji pochodzi z pamiętników — ppłk. dypl. obs. A. Kurowskiego. Obaj p. Pitkiewiczem, co prawda, nie widzieliśmy licencji pilota generała, więc uznaję rzecz za nie wyjaśnioną. Tylko, że ppłk. Kurowski był wykładowcą Wyższej Szkoły Wojskowej (kierownikiem kat. historii lotnictwa) oraz czlowiekiem współczesnym Zagórskiemu i wieloletnim sztabowcem. Nie wiem zatem, czy można go uznać za autorytet czy nie.

Nb. loty „sztabowe” nawet dalekie, odbywały się na 2-miejscowych Breguetach i Potezach. Wiele zależało od tego, kto siedział w drugiej kabine. O szczegółach przeskoleń i lotów tego rodzaju pisze dość dokładnie J. Meissner (np. „Wiater w podeszwach”) i inni.

Sprawę osobistego bombardowania Warszawy przez gen. Zagórskiego znam z ballady podwózkowej z 1926 r. Nie spotkałem się z nią w żadnym poważnym opracowaniu. Wym ppłk. A. Kurowski pisze jedynie o: „osobistym kierowaniu lotami” wykonywanymi z miernym powodzeniem („Kraksy i wzloty”), co nie jest tym samym.

Reasumując: zgadzam się z p. Pitkiewiczem, że gen. Zagórski stał się ofiarą machinacji politycznych. Lecz choć prócz tego udowodnić niewłaściwość jego postępowania i niekompetencję w sprawach resortu, którym kierował, Zyskał przez to wielu wrogów i ludzi niechętnych. Zostało to wykorzystane przeciw niemu i stało się jednym z powodów zguby.

EDWARD KOCENT-ZIELIŃSKI

W cyklu artykułów o gen. Włodzimierzu Ostoi-Zagórskim nie mogłem pominąć spraw związanych z lotnictwem tak jak Edward Kocent-Zieliński nie może pominąć związków gen. W. Zagórskiego z ówczesnym życiem politycznym, choćby je traktował jak najbardziej marginesowo. Nie można zatem patrzeć na gen. W. Ostoję-Zagórskiego tylko wyłącznie z punktu widzenia historii lotnictwa. I o to cały czas się spieramy.

Ponieważ nasze punkty widzenia się różnią, uważam dalszą dyskusję za bezprzedmiotową. Dlatego nie odnoszę się do kilku spraw, co do których mam wątpliwość, a uwagi E. Kocenta-Zielińskiego mnie nie przekonują.

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Jeńcy wojenni byli w oflagach i stalagach

Ile razy w rozmowie z nowo poznanymi ludźmi zaczyna się mówić o czasach wojny, ilekroć na pytanie „gdzie spędziłeś ten czas” odpowiadam: „byłem jeńcem wojennym w Rzeszy” — tylekroć zawsze mój rozmówca odpowiada domyślnie: „aha, w oflagu!”

Jak jeńcie — to w oflagu. Mało kto pamięta o tym — a tym bardziej mało kto z młodszych uświadamia sobie fakt — że

w oflagach przebywali wzięci do niewoli oficerowie polscy, a przecież armia nie składa się z samych oficerów. O setkach tysięcy żołnierzy i podoficerów, o ich losie po wzięciu do niewoli, historia prawie że milczy, literatura nie kwapi się do tego kręgu tematyki, wspomnienia bardzo, bardzo rzadko próbują przebić się na światło dzienne.

Jakoś zostały zachwiane proporcje, jakiś — na pewno nie zamierzony fałsz wykrzywił obraz ówczesnej rzeczywistości i nie ma się co ludzi: taki skrzywiony pozostanie w świadomości przyszłych pokoleń. Przyczynią się do tego nawet tytuły wydawanych książek: „Życie kulturalne polskich jeńców wojennych” (T. Gasztołt), „Jeniecka Melpomena” (W. Mirecki), „Nauczyciele w hitlerowskich obozach jenieckich” (zbiorewe), „Ucieczki z niewoli niemieckiej” (Sz. Datner) i inne dotyczące wyjątki obozów oficerskich i — aby nie wprowadzać w błąd czytelnika — powinny być brzmieć: „Życie kulturalne polskich oficerów w niewoli niemieckiej”, „Melpomena w oflagach”, „Nauczyciele w oflagach”.

Trochę szerzej potraktował sprawę Juliusz Pollack w wydanej ostatnio w MON książce „Jeńcy polscy w hitlerowskiej niewoli”. Po raz pierwszy znajduję w tej publikacji (w pierwszych dwóch rozdziałach i tylko w nich) próbę zreferowania dokumentów, obejmujących zagadnienie jeńców polskich w ogóle, nie tylko oficerów. Pierwszy raz podano (w publikacji książkowej, bo w fachowych czasopiśmie materiały te, być może, były opracowywane) przybliżone liczby jeńców w różnych fazach wojny oraz przyczyny, które wpływały na zmianę stanu osobowego jeńców szeregowych. Szczególnie ważną wydaje mi się zmieniana, potraktowana niestety dość marginesowo, o **pozabawieniu żołnierzy statusu jeńca wojennego i przeniesieniu ich „do cywila”, na status robotnika wywiezionego do Rzeszy**. Zmiana ta pociągała za sobą radykalną zmianę sytuacji żołnierza. Przeszwał być jeńcem, chronionym przez międzynarodowe konwencje. Podlegał władzy policji i gestapo, nie korzystał z żadnych akcji czerwonokręskich. Takiemu losowi uległa przeważająca większość polskich szeregowych i podoficerów, wziętych do niewoli w czasie kampanii wrześniowej. Pollack wspomina o tym niejako „z obowiązku kronikarza”, czuje się jednak, że temat jest mu raczej nie znany, nie przeżyty, nie przemyślany: co rychlej też powraca do spraw oficerskich.

Do spraw znanych już z wielu książek. Mało który teatr „prawdziwy” doczekał się tytułu wspomnień i omówień, co „Teatr Symbolów” w Arnswalde (Oflag II B, dzisiejsze Choszczno). Srodowiska teatralne są w ogóle szczególnie chętne do spisowywania wspomnień, ale tu bania z nimi pękła ze szczególnym hukiem. I wciąż czytamy to samo, że „Ptak” Szaniawskiego, że por. Korzeniowski, Kruczkowski, Słotwiński, że fraki z koców, a dziewczyna z młodych podporuczników”. Nad całym obrazem jenieckiego zdaje się dominować teatr. A może, co gorsza, teatralność?

Byłem podchorążym, a to znaczy z punktu widzenia pragmatyki wojskowej; ni psem, ni wydra. Jednym z najmłodszych w wielkiej niezwołanej armii. Najpierw — zgodnie z rozkazem generała Kleberga, który po bitwie pod Kockiem mianował wszystkich podchorążych oficerami — znalazłem się w oflagu, właśnie w tym samym oflagu II B, w Arnswalde. Tam się z niezdrówą wręcz skrupulatnością przestrzegano szary. Pamiętam dwóch siwych nauczycieli, co do których stwierdzono, że nie mają formalnych podstaw do noszenia gwiazdki na ramionach: zostali przy najbliższej okazji z obozu usunięci. Podchorążych — prawie wszystkich — spotkał ten sam los w czerwcu 1940 roku. Smiem twierdzić, że wystarczyłoby bardzo niewiele dyplomacji ze strony polskich władz obozowych, abyśmy zostali w oflagach i nie byli skazani na zwierzeczo warunki i zwierzęcą pracę w stalagach, o których milczą kroniki.

Znam więc zarówno oflag, jak stalagi, to drugie znacznie lepiej i dosadniej. Znam — i dlatego z oporami czytam u Juliusza Pollacka w zakończeniu każdego rozdziału uwagę w typie: „w stalagach bibliotek nie było”, „teatrów nie było”, „prasy nie było” — nie nie było, bo pracowali i nie mieli czasu.

Podchorążowie — ponad 2 tysiące — usunięci ze wszystkich oflagów — znaleźli się w Oberlangen, w tych samych barakach, z których z górą cztery lata później żołnierze Maczka wyswobodzili dziewczęta z warszawskiego powstania.

Podchorążych zatrudniano przy najcięższych robotach, a odmawiających podjęcia pracy kierowano do obozów karnych. I tak na przykład w Oberlangen pracowali przy kopaniu rowów odwadniających, stojąc przez wiele godzin w wodzie. Tego rodzaju praca i złe warunki życia w obozie odbijały się fatalnie na zdrowiu jeńców. Wielu z nich zmarło w niewoli, inni zostali inwalidami na całe życie.

Tyle pisze Pollack o Oberlangen i to jest prawda. Ale nie pisze — nikt o tym nigdzie nie napisał poza skromnym wspominkowym tomikiem (moim, za przeproszeniem) „Pięć lat z hakiem” z 1959 roku — że w tymże Oberlangen w straszliwych warunkach istniała tajna „Komisja Kulturalno-Oświatowa” (Bohdan Komorowski — dziś prof. Uniwersytetu w Lublinie i inni), kursy językowe, seminaria filozoficzne i filologiczne, że organizowano tam konkursy poetyckie, fioletowe procesy, mówiony magazyn „Merkuriusz Obozowy”, mówiony dziennik (red. Jan Werner), że przez cały czas istniał teatr „Krzywa Dziurka” i zespoły muzyczno-wokalne. To samo że znacznie większym rozmachem miało miejsce w późniejszym największym obozie podchorążych — Hoffnungstal (Zdzisław Nardelli, Narcyz Kazmierczak), to samo we wszystkich stalagach, przez które przeszedłem, a także we wszystkich większych „komenderówkach” (Arbeitskommando), zwanych przez Pollacka drużynami robotnymi. Podobno ma się ukazać w „PAX” zbiorce „Wspomnienia podchorążych”. Myślę, że będzie on niezbędnym uzupełnieniem książki Juliusza Pollacka, ale też nie wyczerpie sprawy. Stalagi, obozy żołniersze szeregowych, czekają ciągle na swego kronikarza.

Jednej sprawy nie znalazłem dotąd nigdzie. Pod koniec 1940 roku przybyli do obozów jenieckich w Rzeszy grupy żołnierzy i podchorążych (o oficerach nie wiem), internowanych w pierwszych miesiącach wojny w Związku Radzieckim. W takiej sytuacji był m.in. Gałczyński, o czym dowiedziałem się ze wspomnień jego córki w „Przekroju”. Sprawa ta nie znalazła swego wyjaśnienia w żadnej publikacji. Pollack również o niej nie wspomina, chociaż książka jego jest najbardziej z dotychczasowych wszechstronna i dająca do całościowego naświetlenia spraw jenieckich.

I jeszcze jedna, osobista sprawa. W Arnswalde, w opisanym tytlekroć oflagu II B, już w styczniu 1940 roku zaczęła wychodzić „Gazetka Obozowa”, której jednym z redaktorów był Juliusz Pollack. Ukazał się w tej gazetce wiersz, o którym Pollack pisze:

„W numerze uoworocnym zamieszczony został wiersz Włodzimierza Krzemińskiego, który stał się potężnym zastrzykiem wiary i optymizmu”. Jest to wiersz, który cytował króciutko również T. Gasztołt w swym „Życiu kulturalnym polskich jeńców wojennych”, przypisując go Władysławowi Krzemińskiemu. Tym razem — w książce Pollacka — moje imię podane jest prawidłowo, natomiast sam przytoczony fragment wiersza haniebnie zniekształcony, niewątpliwie z braku korekty.

Jestem już doprawdy zgębnym pechem przesładującym uporczywie ów skromny, ale przecież awansowany przez same wydarzenia do rangi jakiegos tam faktu, wiersz. Pozwólcie zatem, że zakończę artykuł przytoczeniem chociaż raz pełnego i dokładnego tekstu wiersza Włodzimierza Krzemińskiego p.t. „1940”, drukowanego w oflagu II B, w „Gazetce Obozowej” z 15.I.1940:

W niezerwaną kartkę kalendarza zadumany utkwiony wrok,
Gdzieś na świecie hucają młyny zdarzeń,
a tu — cicho... pustka... Nowy Rok!

Na gałązkach koleczatego drutu
strzępkim białym nawisły śnieg,
na dziedzińcu kragle ślady butów,
na trawniku — zmarzłej róży krzew —

i to wszystko. I to jest twój świat,
twoje smutne, obumarłe dziś...
cóż zostało? Wieści z domu brak
(złym domyślem biczuję się myśl)...

Wspomnień roje z ostatnich dni
dreczą duszę grozą krwawych mar.
Requiescant marzenia i sny!
(wzrok utkwiony w nieboskłoną dal)

Północ bije. To wskazówka lat
kończy właśnie miliardowy krąg.
Nie rozpaczaj! Oto dobry znak:
na nadziei skrzydłach Nowy Rok!

Nie rozpaczaj! Może wśród tysiąca
i tę jedną niesie ci godzinę:
zabrzmią dzwony radośną nowiną,
oszołomną wieść rozniosą gonice,

Zadrżnij serce pod szczęścia ciężarem,
napęcznij nadmiarem kochania —
wielkanocnym, szalonym pożarem
buchnie w niebo prawda zmartwychwstania...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

*) To samo, prawie dosłownie, patrz na przykład: Jerzy Tyminiński — „Ten wrzesień trwał sześć lat”; Wiesław Mirecki — „Jeniecka Melpomena”; T. Gasztołt — „Życie kulturalne polskich jeńców wojennych na Pomorzu Zachodnim”; J. Izycki — „W oflagu II B”; M. Sadzewicz — „Oflag” i inne.

Konkurs

Redakcja „Życia Literackiego” ogłasza zamknięty konkurs prasowy dla dziennikarzy pism regionalnych tzw. drugiej i trzeciej siatki, którzy nie przekroczyli 30 lat życia, pod hasłem:

INTELIGENT NA PROWINCJI

Konkurs adresowany jest przede wszystkim do tych kolegów dziennikarzy, którzy podjęli pracę w miastach pozabawionych znaczącego środowiska akademickiego. Celem konkursu jest uzyskanie odpowiedzi na pytanie o warunki adaptacji, warunki wrastania w zawód dziennikarski i nowe środowisko. W jakim stopniu Wasze nadzieje i oczekiwania spełniły się, a w jakim doznałście rozczarowań? Kto był Wam szczególnie pomocny, a na kim (na czym) zawiedliście się? Jeśli podjęcie pracy w piśmie wiązało się z powrotem w rodzinne strony, interesuje nas też odpowiedź na pytanie, jak z nowej perspektyw, z innego dystansu oceniacie swoje obecne środowisko. Zapiszmy wątpliwości, które być może nie pojawiłyby się w innej sytuacji — oto m. in. spodziewany plan konkursu.

Najlepsze prace opublikujemy na łamach. Nagrody: I — 15 tys. zł, II — 10 tys. zł, pięć III — po 5 tys. zł. Podział nagród może ulec zmianie. Objętości tekstów nie ograniczamy. Termin ich nadsyłania upływa 10 czerwca 1983.

Wypowiedzi opatrzone godłem prosimy padsyłać na adres „Życia Literackiego” w Krakowie, nr kodu: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 2 z dopiskiem „Konkurs”, w dwóch egzemplarzach maszynopisu. Do przesyłki należy dołączyć zaklejoną kopertę z godłem, zawierającą imię i nazwisko autora, adres i nazwę redakcji.

Autostop '83

AUTOSTOP '83 rozpoczął dwudziestą szóstą kolejną akcję młodzieżową, która będzie trwała do 30 września br.

AKCJE PROWADZI prawie 300 placówek: Oddziały PTTK, „ALMATUR”, Centra i Punkty Informacji Turystycznej („IT”), PTSM, LZS i OHP.

W TRUDNYCH dla rozwoju turystyki czasach autostop — jak żadna inna forma turystyki — ma pełne szanse przeżyć swój renesans, swoją „drugą młodość”, zapewnić tanie i wychowawcze spędzenie przez młodzież urlopów i wakacji oraz atrakcyjne poznanie kraju.

AUTOSTOP jest nadal SAMOWYSTARCZALNY FINANSOWO, nie korzysta z dotacji państwowych ani organizacyjnych, a finanse pochodzą wyłącznie ze sprzedaży książeczek.

Akcje utrzymuje sama młodzież; ta jeszcze nie zarabiająca lub dopiero rozpoczynająca zarabiać.

KOSZT książeczki 150 zł (również dla cudzoziemców). W ramach kosztu książeczki — stanowiącej małe wadecemum turystyczne uczestnika — każdy autostopowiec otrzymuje:

1. kupon na przejazd 2 tysięcy kilometrów,
2. samochodową mapę Polski z aktualnymi zabytkami, campingami, przejściami granicznymi oraz bardzo praktycznymi planami dróg wyjazdowych z 49 miast wojewódzkich — z naniesionymi numerami miejskich linii komunikacyjnych,
3. regulamin „List” dla kierowców (dwie różne wersje),
4. znaczek odbłaskowy (zwiększający bezpieczeństwo poruszania się pieszych po drogach o zmroku),
5. plastikową okładkę na książeczkę,
6. aktualne ubezpieczenie w PZU od następstw nieszczęśliwych wypadków, nie tylko drogowych, lecz WSZYSTKICH, jakie się mogą wydarzyć, np. w kąpiel, grach sportowych, pracy przy żniwach, itp.

UDZIAŁ W AUTOSTOPIE może brać młodzież, która ukończyła 17 lat życia. Poniżej 17 lat, wyłącznie za zezwoleniem rodziców — pod opieką osoby dorosłej.

ZLOT AUTOSTOPOWICZÓW odbędzie się w dniach 30 i 31 lipca br. w Boszkowie nad Jez. Dominickim (woj. leszczyński).

POPULARYZUJEMY akcję „Wakacje na własny rachunek” — porozumienie Społecznego Komitetu Autostopu z Komendą Główną OHP, indywidualne zatrudnienie autostopowiczów (przy próbach pracach) mogących podreperować swój budżet wakacyjny.

PODKREŚLAMY, że polski autostop istnieje dzięki życzliwości kierowców, kształtowanej przez prasę, radio i telewizję.

Przekazując informacje związane z rozpoczęciem „Autostopu '83” dziękujemy za dotychczasową życzliwość, pomoc i społeczne zaangażowanie. W następnym komunikacie — informacji, przesyłamy dalsze materiały oraz mapy.

za Społeczny Komitet Autostopu
Dyrektor Biura
ANDRZEJ PIWŃSKI

Warszawa, dnia 1 maja 1983 r.

ODGŁOSY 11

Trwało dłuższą chwilę nim zaparkował swój mały samochodek w szeregu ciasno ustawionych wozów. Zawsze, kiedy z niego wysiadał, czuł się jeszcze mniejszy, wcisnięty w szary kąt świata, z którego — wiedział — nigdy się nie wydostać, a zresztą nie zamierzał nawet próbować.

Mieszka na przedostatnim piętrze potężnego wieżowca — stać okna jego mieszkania były ledwo widoczne. Dobre parędziesiąt metrów dzieliło go od ulubionych miękkich papuci, które wkładał tuż przy drzwiach wygodnego mieszkania, jakże zajmował na szesnastym piętrze betonowej termiery.

Wsiadł do windy z kilkoma innymi osobami. W tej masie ludzi, których przelotnie spotykał, nigdy nie był pewien kto jest kim. Spotykając więc ewentualnego sąsiadę, czynił zwykle niewyraźny ruch głową w

światłem, które wypływało nie wiadomo skąd. Szedł lub wiaściwie był prowadzony, czując na ramieniu łagodny, lecz stanowczy nacisk dion tamtego. Dziesiątkami metrów, korytarzem o wielu rozwidleniach posuwali się naprzód otoczeni delikatną, błękitną oświatłą a on, coraz bardziej oszołomiony, nie potrafił nic z tego zrozumieć.

Zdumienie obezwładniło go zupełnie i nie próbował już niczego sobie wytłumaczyć.

„To na pewno da się wyjaśnić i zaraz samo się wyjaśni, tylko co ja tu mogę robić? Ale przecież — uspokajał sam siebie — ktokolwiek mnie tu wezwiał, na pewno mi to wyjaśni.”

— To już tutaj — nieznajomy zatrzymał go delikatnie.

Niewielki, kwadratowy przycisk uruchomił mechanizm ukrytych drzwi, które rozsunęły się bezszelestnie.

że szef postanowił zmienić pańskie instrukcje...

— Jestem gotowy — rzucił skwapliwie.

— Świetnie, a więc... — zgubił przez chwilę wątek. Przekreślił się na fotelu nieco rozluźniony.

Potem rozmawiali żywo przez chwilę. Kowalski przesadnie gestykulował i przytakiwał co chwila. Wcisnięty głęboko w fotel i pochylony do przodu wyglądał zabawnie ze swoją prezencją starszego referenta, z miną sztucznie ugrzecznioną na spokojnej, pulchnej twarzy.

— Jesteśmy z pana zadowoleni — tu znowu spojrzenie na milczącego szefa — „jest pan jednym z najzdolniejszych naszych pracowników.”

— Och, staram się...

— Tak. Doceniamy to. Szef ma pewne plany wobec pana i myślę, że niedługo będę mógł panu pogratulować awansu. Będzie pan mógł powrócić na planię i zająć się pracą w Centrum Kontrolli. To na razie wszystko.

Wstali. Sekretarz uściłnął mu dłoń. Szef, sledzący dalej niemal bez ruchu, jedynie skinął mu głową.

Ochodząc skłonił się jeszcze w ich stronę i ruszył w kierunku drzwi obok, by dopełnić mniej oficjalnej części raportu.



Kosmita i Ja czyli Spielberg i „E.T.”

LESŁAW ŻELECHOWSKI

Misja Kowalskiego

(DEBIUT)

rodzaju skinięcia — „na wszelki wypadek”.

Po drodze winda kilka razy zatrzymywała się; na swoje piętro dojechał sam. Szedł długim korytarzem słabo oświetlonym kilkoma żarówkami bez osłon. Rzucali one młde smugi żółtego światła. Miał jakichś ludzi, tak jak on zamkniętych w sobie, zmęczonych, spieszących gdzieś w sobie tylko znanych sprawach, z nieokreślonym grymasem uprzejmości na nudnych twarzach.

Pasował do tego korytarza i tych ludzi z tą swoją jakby zmiętą twarzą, idąc tuż przy ścianie szerokiego korytarza, lekko przygarbiony, stawiając niepewne, drobne kroczki na zbyt krótkich nogach.

Na końcu korytarza, oznaczone kolejnym numerem było jego mieszkanie — miejsce, w którym Kowalski — numer statystyczny, stawał się Kowalskim — indywidualnością. Ot tak sobie, a i to dopiero po zdjęciu zakurzonych butów.

Musiał się zagapić. To dla niego zwykła rzecz. Kowalski to właśnie ten, który się zawsze zagapia. No więc znowu się zagapił.

Tym razem wpadł wprost na jakieś drzwi. Głuche uderzenie. Zaskoczony, ocknął się z zamyślenia i odruchowo wybełkotał: przepraszam — choć nie było tu nikogo, komu mógłby to powiedzieć. Już chciał odejść, gdy drzwi otworzyły się i usłyszał czyjś głos:

— Proszę, wszyscy już na pana czekają.

Spojrzał ze zdziwieniem. Przed nim stał nieznajomy mężczyzna i patrzył na niego z lekkim uśmiechem.

— Proszę — powtórzył. — Wszyscy już czekają.

— Wszyscy? Tak... to jest właściwie... kto?

Nieznajomy nie przestawał się uśmiechać.

— To znaczy... oczywiście... — był całkiem zdezorientowany. „Za chwilę — myślał — za chwilę przypomnę sobie, po co miałem tu przyjść...” Ale nic sobie nie przypominał. Wszedł do środka, myśląc tylko o głupiej minie, jaką musi teraz mieć.

Przeszli krótki korytarz i zatrzymali się.

— Tedy — nieznajomy otworzył kolejne drzwi i przepuścił go przodem.

Jaskrawe światło oślepiło go na chwilę. Przed nim, jak daleko sięgnął wzrokiem, ciągnął się niezwykle szeroki korytarz promieniujący przenikliwym

— Niech pan wejdzie — usłyszał z tyłu głos.

Stał przez chwilę bez ruchu, a gdy się obejrzał, nie było już za nim nikogo. Drzwi domykały się powoli.

Zrobił parę kroków i przystanął nagle — poczuł się jak na krawędzi przepaści. Przeraziła go wielkość przestrzeni; niemal fizycznie odczuł jej ogrom.

Pomieszczenie wielkości hali sportowej wyłożone było białobrazową tkaniną, a ściany miały ten sam pastelowo-błękitny odcień co korytarz.

— Więc jest pan już — w martwej ciszy, która tu panowała ten lekko podniesiony głos zabrzmiał prawie jak krzyk. — Proszę tutaj — odezwał się ten sam głos tonem oschłej uprzejmości.

Bardziej ten głos niż to, co widział, zorientował go, gdzie się skierować. W głębi, ledwie dostrzegalne, widniały sylwetki jakichś ludzi, siedzących w trzech fotelach ustawionych niemal w rogu, po drugiej stronie sali. Gdy podszedł bliżej, z jednego z nich podniósł się jakiś mężczyzna.

— Witamy pana — powiedział.

Obok siedział jeszcze jeden człowiek, ale nie uczynił nawet żadnego gestu na jego powitanie. Siedział bez ruchu i tylko spoglądał na niego uważnie.

— Proszę, niech pan siada — dodał pierwszy wskazując mu pusty fotel.

Usiadł, a zrobił to tym chętniej, że czuł się wyraźnie zmęczony. Wtedy, przez moment, poczuł lekki zawrót głowy, który jednak zaraz minął bez śladu i poczuł się dziwnie świeżo.

— Marnie pan wygląda. Powinien pan zafundować sobie mały urlopik. Tak, ale przechodząc do rzeczy...

Nastąpiła krótka pauza — mężczyzna, który do niego mówił spojrzał z lekkim uśmiechem w kierunku drugiego.

— Wezwaliśmy pana — kontynuował — aby przekazać panu nowe instrukcje...

— Nie sądziłem jednak, że będzie to już teraz.

— Właśnie — ciągnął tamten. — Zaisztaliły nowe okoliczności, które zdecydowały o tym,

L 9045-Z jest agentem Tajnej Służby. System, którego jest skromnym elementem posiada perfekcję działania, jakiej nie posiadać żaden z ziemskich systemów wywiadu. Możliwość jego zdemaskowania są bliskie zeru, a to z prostej przyczyny — agenci Tajnej Służby są zwykłymi ludźmi i nie zdają sobie zupełnie sprawy z tego, że dla kogoś pracują. Nie wiedzą, jakie dane gromadzi i selekcjonuje wstępnie sekretny sektor ich mózgu, który służy jako żywy bank pamięci. Informacje te nie są dostępne dla ich świadomości, a za to z powodzeniem wykorzystuje je Centralny Komputer Ośrodka Kontroli na Ziemi.

Tysiące agentów, ludzi pozornie jak inni, pełni „Misję Kowalskiego” PRACUJĄC NIEUSTANNIE dla Tajnego Systemu, żyjąc na dwóch poziomach, z których żaden nie jest bardziej prawdziwy. Są tylko genialnymi narzędziami w rękach Przybyszów, którzy gromadząc informacje analizują nasz świat. Tak było i tak będzie trwało nadal, aż do momentu kiedy ONI uznają, że posiadli już potrzebne im informacje.

— Pani! Pani, czy pan się dobrze czuje?!

— Zrozumiałem, oczywiście, postaram się...

— Co panu jest? No niechże się pan opamięta!

Dopiero lekkie szarpnięcie za ramię przywołało go do rzeczywistości. Nieznajomy potrząsnął jego ramieniem.

— Tak, tak. W porządku — rzucił przytomniejąc nieco. Rozejrzał się niepewnie wokoło. Stał w korytarzu swojego domu na piętrze, na którym mieszkał.

— W porządku — mówił dalej — to nie, to tylko zawrót głowy, ale już przechodzi, już jest lepiej, zaraz będzie lepiej.

Pozostał sam. Poczuł się nagle bardzo zmęczony. Ze zdziwieniem zauważył, że stoi obok własnych drzwi. Nie miał pojęcia jak długo tu stał.

„Jestem zmęczony, jestem bardzo zmęczony” — pomyślał wsuwając klucz do zamka.

Przedstawiciel „Le Nouvel Observateur” Jean-Francois Josselin dziwi się, że Steven Spielberg nie ma małej anteny wyrastającej z zielonej głowy, wygląda natomiast jak Tintin z popularnych francuskich komiksów. Twórca „Szczęk”, „Bliższych spotkań trzeciego stopnia”, „Poszukiwaczy zaginionej arki” i przeboju nad przebojami „E.T.” o małym, zagubionym na Ziemi kosmicie, mówi o filmach fantastyczonaukowych.

— Wrogie uczucia Amerykanów wobec kosmosu były typową paranoją okresu „zimnej wojny”. W gruncie rzeczy jednak Amerykanie bali się nie kosmosu, ale Związku Radzieckiego. Dla kurazu powstawały więc filmy science fiction w stylu westernów, w których rolę Indian przejęli na siebie groźni przybysze z rakiet... Osobiście nie ulegam tego typu panice. Nie jestem katastrofistą. Uważam, że jeśli na Ziemię przybędzie ktoś z odległości wielu milionów lat świetlnych, nie będzie próbował jej niszczyć. Po prostu zaspokoi swoją ciekawość. A sukces takiej podróży może tylko świadczyć o wyższości nad ziemską techniką i wiedzą. I nie wierzę, że wykorzystają ją dla niszczenia — przeciwnie, mogą nam tylko pomóc. Właśnie technologia stwarza możliwość spotkania.

— A więc kosmici przyniosą nam szczęście? Czy mały „E.T.” nie jest po prostu aniołem?

— Nie — odpowiada Spielberg. — Jest podróżnikiem. Przybył, aby dać nam pewną lekcję duchową, a nie religijną. W żadnym wypadku nie jest judeo-chrześcijańcem... Gdybym poznał takiego kosmicę mając dziesięć lat, byłby to mój najlepszy przyjaciel. Dlatego właśnie film ma charakter autobiograficzny...

— A więc Arizona w latach pięćdziesiątych. Osmioletni Steven otrzymuje od ojca tranzystor.

— Ojciec chciał, żebym został duchownym. Ja wolałem kino. Kiedy miałem 15 lat, ojciec dał mi pięćset dolarów. Zrealizowałem za te pieniądze na wąskiej taśmie film, który trwał dwie i pół godziny. „Firelight” — o uczonych badających niebo. Urządziłem projekcję, która przyniosła mi sto dolarów zysku. Potem przenieśliśmy się do Kalifornii. Ojciec zrezygnował ze swoich planów wobec mnie, dziś ogląda wszystkie moje filmy...

— W tym samym numerze „Le Nouvel Observateur” Michel Mardore publikuje recenzję z filmu „E.T.”. Jest pełen entuzjazmu dla mistrzostwa reżysera, który z muzyczną precyzją

montuje każdą sekwencję, zmuszając widza do śmiechu i łez, sterując jego uczuciami. „Mozart nie umarł! — wola Mardore — Mozart kręci dziś filmy!”. A kto naprawdę jest mistrzem Spielberga?

Reżyser odpowiada: — „Właściwie nikt. To się inaczej rozwijało. Miałem od dziecka kłopoty z porządkiem, nie miałem się, w sporcie byłem zerem, koleczy w szkole nie bardzo mnie lubili. Dopiero kiedy dostałem do ręki starą kamerę, wszystko się zmieniło. Kamera otworzyła mi drzwi do innych. Używałem jej, aby wyrazić swoje myśli — już od dwunastego roku życia. To była obsesja. Za późno było szukać czegoś innego. Zresztą nie chciałem. Moją koleżką wybierał studia techniczne, medyczne. Moim studiami było stukanie do drzwi wytwórni. Pewnego dnia znalazłem się na planie u Hitchcocka. Mistrz zajął się sceną, nie odwrócił nawet głowy, ale kazał mnie usunąć. Był zdumiewający — miał oczy w tyle głowy... Nie chodziłem specjalnie do kina, mało oglądałem filmów europejskich. To, co mnie interesowało, to była kwestia opowiedzenia jakiejś historii na ekranie. Historii, którą mogę umieścić tylko w znanym mi kontekście amerykańskim. Z przyjemnością oglądam w tv stare filmy amerykańskie Sturgesa, Capry, „Walt Disneya. Jak każdy wielki artysta, bliski był zawsze dzieciom. Jestem przekonany, że wszystkie wielkie dzieła literatury czy kina odbijają sny dzieciństwa...”

— Mówi się, że Spielberg robi bajki — dla wszystkich. Bajki, które rzucają czar. O jakich myśli teraz? Wiadomo, że pracuje właśnie nad dalszym ciągiem „Poszukiwaczy zaginionej arki”.

— „Potem chciałbym zrobić musical z Quincy Jonesem, stary musical a la Stanley Donen, z ludźmi, którzy wyrażają uczucia tańcem i muzyką. A jeszcze potem? Nie lubię przewidywać dalej niż na jeden rok naprzód. I wierzę w inspirację, która nadchodzi nieoczekiwanie...”

— A co z małym kosmitą „E.T.”. Czy powróci?

— Nie potrafię odpowiedzieć. To jego trzeba zapytać!

Z tygodnika „Film” wybrał: M. D.



W krajach uprzemysłowionych rozpoczął się boom biotechniki: po pierwszej wielkiej technice przyszłościowej, mikroelektronice, teraz ta druga ogromna innowacja niesie ze sobą zapowiedź zmian w świecie przemysłowym jeszcze przed przełomem tysiącleci. Powstała w laboratoriach specjalistów biologii molekularnej. Przede wszystkim amerykańscy badacze, obficie za to obsypani nagrodami Nobla, wynaleźli w latach siedemdziesiątych sposób przenoszenia materiału genetycznego z jednego organizmu żywego do drugiego. Od tej pory za pomocą manipulacji genetycznej człowiek może wyposażać te organizmy w pożyteczne cechy, dzięki którym dostarczają one materiałów dających się wykorzystywać w gospodarce: leków i chemikaliów, paliw, żywności i metali.

1. KONSTRUKTORZY MIKROBÓW

O tym, że mikroby produkują pożyteczne substancje, wiadano od dawna. Dzięki grzybom powstaje penicylina i dojrzewają sery, bakterie produkują jogurt i wino. Dotychczas jednak te pożyteczne organizmy trzeba było zmuszać do wyszukania i hodować. Teraz inżynieria genetyczna przykrywa je sobie sama, na miarę.

Do tej pory rynki zbytu na produkty procesów biologicznych były raczej niewielkie. Teraz jednak nowe know-how szerokim frontem przechodzi z ośrodków badawczych do fabryk. W obliczu ogromnego postępu dzięki tej innowacji obciąża przede wszystkim przemysł chemiczny i farmaceutyczny — ale także dostawcy energii, górnictwo, przemysł spożywczy i rolnictwo.

Biuro Ocen Technicznych przy Kongresie Stanów Zjednoczonych przewiduje, że za 20 lat, za pomocą mikrobów manipulowanych genetycznie, około stu popularnych chemikaliów o wartości rynkowej 65 mld DM będzie można produkować oszczędnie i taniej niż dziś. Genex, firma z branży techniki genowej, szacuje, że z końcem bieżącego stulecia na rynkach światowych znajdą się nowe „bakteryjny” wytwarzane produkty na taką samą sumę.

Amerkański magazyn TIME dochodzi do śmiałego wniosku:

„Po rozbitiu atomu technika genowa jest największą umiejętnością, jaką sobie przyswoił człowiek. Wydaje się, że będzie ona techniką lat osiemdziesiątych — tak, jak technika lat czterdziestych były tworzywa sztuczne, pięćdziesiątych — tranzystory, sześćdziesiątych — komputery i siedemdziesiątych — mikrokomputery”.

Boom biotechniki odbije się na pewno na niemieckim przemyśle chemicznym. Firmy farmaceutyczne takie, jak Schering czy Merck mają — jeszcze — rangę światową. Nadrenskie giganty chemiczne Bayer, Hoechst i BASF należą — na razie — do największych na świecie w swojej branży. Następcy potężnego niegdyś koncernu IG Farben przystąpił jednak do interesu genowego ze zbyt wielkimi oporami. I w tej dziedzinie przodują Amerykanie i Japończycy. Hansgeorg Gareis, szef działu farmaceutycznego u Hoechsta, przyznaje bez wahania:

— Przynajmniej Amerykanie wyprzedzają nas o wiele długości.

2. INSULINA BAKTERYJNEGO POCHODZENIA

Prof. Gareis musi to wiedzieć. Amerykanie dokonali już bowiem pierwszego zamachu na rynek niemiecki — na niekorzyść Hoechsta. Od miesiąca amerykański koncern Eli Lilly sprzedaje w Republice Federalnej pierwszy produkt masowy, wytwarzany przez zastosowanie techniki genowej: insulinę ludzką. Od tego nieodzownego do życia hormonu, regulującego poziom cukru we krwi, zależnych jest w Republice Federalnej około 420.000 cukrzyków. Obrót insuliną na całym świecie dochodzi do wartości przeszło 700 mln DM rocznie.

Tradycyjnie insulinę uzyskuje się z trzustki bydląt rzeźnych i świń. W koncernie Eli Lilly hormon ten wytwarzają bakterie escherichia coli, którym wszepiono kod genetyczny produkującej insulinę ludzkiej. Produkt tych bakterii ma wiele zalet: jego struktura chemiczna jest dokładnie taka sama jak insuliny wytwarzanej przez trzustkę ludzką. Natomiast insulina krowia i świnią różni się nieco od ludzkiej i może wywołać u chorych na cukrzycę objawy uboczne, chyba że zostanie oczyszczona w znużonym procesie chemicznym.

Wada insuliny koncernu Eli Lilly: jest zbyt droga. 400 jednostek tej substancji kosztuje w hurcie 9,97 DM, co zresztą prawdopodobnie nie pokrywa nawet kosztów. Nie wiadomo, czy Eli Lilly ma z tego jakiejś zyski. Oczyszczona insulina świnią kosztuje natomiast 9,50 DM.

Mimo to koncern nie miał trudu z podjęciem decyzji o zainwestowaniu 60 mln dolarów w produkcję insuliny za pomocą techniki genowej — stwierdza szef badań naukowych w Eli Lilly, Irving Johnson. Spodziewa się on, że w niedługim czasie może zabraknąć insuliny zwierzęcej z rzeźni. Jest to jednak niecała prawda. O wiele ważniejsze dla Eli Lilly jest to, że w postaci tej nowej substancji ma w ręku narzędzie umożliwiającej wejście na rynek niemiecki opanowany przez Hoechsta. Amerykański koncern i tak zresztą kontroluje już światowy rynek insuliny tradycyjnej. Hoechst natomiast będzie miał własną insulinę „genową” dopiero za dwa lata, ale wówczas, jak zapewnia prof. Gareis, technologia Hoechsta będzie lepsza i tańsza niż Lilly'ego.

3. NAJWYŻEJ ZA 20 LAT

Oceny, kiedy boom na biotechnikę wybuchnie z całą siłą, wahają się, w zależności od branży i produktu, od pięciu do dwudziestu lat. Zdaniem ekspertów, produktów techniki genowej najprędzej zacznie dostarczać przemysł farmaceutyczny — Lilly dostarczył już dowodu. Następnie w przemyśle chemicznym pojawiają się nowe biologiczne procesy produkcyjne, które wyprą obecne technologie, energochłonne i zależne od ropy naftowej. Na koniec przyjdzie

do kolej na rolnictwo, które najpóźniej za 20 lat będzie uprawiać rośliny genetycznie „przekonstruowane na miarę”.

Menadżerowie firm niemieckich liczą się z szerszym oddziaływaniem biotechniki dopiero od techniki genowej w Bayer AG twierdzi, że:

— Atrakcyjne strony genetic engineering można dziś wyliczyć na palcach dwu rąk. Nie ma podstaw do jakiegokolwiek przesadnej euforii.

Zaś rzecznik BASF z Ludwigshafen ocenia: — Biotechnika jest na drodze do stania się techniką — ale dziś jeszcze nią nie jest. W każdym razie nie widzimy żadnego bezpośredniego zagrożenia dla naszego przedsiębiorstwa.

Krótką jeszcze historią techniki genowej uczy jednak, że nawet zbyt śmiała, wydawałoby się, prognozy rozwoju tej branży zawsze okazywały się później zbyt ostrożne. Jaskrawy przykład:

We wrześniu 1979 r. na pewnej konferencji w Stanach Zjednoczonych na temat techniki genowej eksperci zapowiedzieli, że potrzeba będzie jeszcze co najmniej trzech lat, żeby można było produkować substancję antywirusową interferon za pomocą manipulowania bakteriami. Tymczasem zaledwie cztery miesiące później firma badawcza Biogen w Bostonie poinformowała, że powiodła się jej produkcja interferonu na skalę laboratoryjną przy zastosowaniu techniki genowej.

Przekonstruować na początek bakterie i rośliny

WOLFGANG GEHRMANN

Dynamizm techniki genowej zapewnijają małe „chałupnicze” firmy z Bostonu i San Francisco. Jak niegdyś mikroelektronika powstała w starych garażach Silicon Valley, tak i teraz nad innowacjami genetycznymi pracują setki małych zakładów, którym kapitał dostarcza nie bojący się ryzyka finansistów z rejonów amerykańskich ośrodków badawczych na Wybrzeżu Zachodnim i w Nowej Anglii. Doświadczeni profesorowie z Harvardu i Stanfordu, z Massachusetts Institute of Technology (MIT) i z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco „spiknęli się” z obrotowymi, młodymi przedsiębiorstwami i wywołali „rausz genowy”.

W samym środku tego rauszu tkwi firma Genentech. Od niej właśnie konkurent Hoechsta, Eli Lilly, kupił know-how do produkcji insuliny genowej. W przemysłowej południowej dzielnicy San Francisco Genentech rozrasta się gwałtownie z niepozornego laboratorium w wielkie przedsiębiorstwo produkcyjne. Firma zatrudnia dziś 500 ludzi — przed czterema laty było ich zaledwie dziesięciu.

Przed sześciu laty przedsiębiorstwo istniało tylko jako idea fixe 28-letniego wówczas Roberta Swanson. Użył on w MIT dyplomu chemika i ekonomisty, i początkowo pracował w nowojorskim Citibank jako doradca wielkich klientów w kwestiach podejmowania ryzyka finansowego. Rozwijająca się właśnie technika genowa wydała mu się dobrą okazją, by samemu coś zaryzykować.

4. UCZONY WYGLĄDAJĄCY NA HIPPIESA

Jednak u kolejnych firm i uczonych, których chciał wciągnąć do współpracy, spotkał się z odmową. W końcu trafił na właściwego człowieka: czterdziestoletniego profesora Uniwersytetu Kalifornijskiego, Herberta Boyera. Ten specjalista od biologii molekularnej uchodził wprawdzie w swoim otoczeniu za trochę wykojony typ hippiesowski, ale od strony naukowej był niewątpliwie asem. Razem ze Stanleyem Cohenem z Uniwersytetu Stanfordu dokonał w 1973 r. decydującego kroku w technice przenoszenia genów.

Kiedy Swanson zatelefonował do Boyera, profesor oświadczył, że może mu poświęcić dwadzieścia minut w swoim laboratorium. Po czterech godzinach i licznych piwach — rozmowa przeniosła się tymczasem do pubu — Boyer

dał się namówić na założenie ze Swansonem (przy wkładzie finansowym 500 dol.) firmy zajmującej się techniką genową. Ponieważ nie mogli się zdecydować, czy nowe przedsiębiorstwo ma się nazywać „Boyer i Swanson” czy „Swanson i Boyer”, nazwali je Genentech — od „genetic engineering technology”. Firma miała prowadzić badania genetyczne i sprzedawać ich wyniki. Młodzi przedsiębiorcy mieli dobry start. Swanson, który poprzednio udzielał porad przy ryzyku finansowym, potrafił zgromadzić milion dolarów jako kapitał początkowy.

W rok od założenia firmy, Genentech udała się taka genetyczna manipulacja bakteriami, że produkowały hormon mózgu ludzkiego — somatostatynę. Po jeszcze jednym roku bakterie wscherichia coli produkowały w laboratoriach Genentech insulinę ludzką. Eli Lilly natychmiast po nią sięgnął.

Aby uzyskać decydujący bodziec do rozwoju, jesienią 1980 r. Swanson wypuścił akcje firmy. Na giełdzie sprzedano milion akcji Genentech po 35 dolarów sztuka, w kasie firmy znalazło się więc 35 mln dolarów. Na Wall Street wybuchł obłędny run na Genentech. Po 20 minutach od rozpoczęcia handlu nowymi akcjami ich wartość wzrosła do 89 dolarów.

Biotechnika zainteresowała się teraz wielki business. Największym akcjonariuszem Genentech — z 20 proc. udziałów — są rafinerie Lub-

rizol Corporation. Wiele koncernów finansuje projekty badawcze Genentech.

Wśród około 200 gotowych podjąć ryzyko firm zajmujących się techniką genową przede wszystkim trzy dalsze cieszą się zainteresowaniem wielkich koncernów: Cetus Corporation w San Francisco, Genex Corporation w Rockville (Maryland) i Biogen N.V., przedsiębiorstwo międzynarodowe z laboratoriami w Genewie i Bostonie. Ta czołówka ma największe szanse na to, by stać się firmami przynoszącymi największe zyski i reprezentującymi najwyższy poziom techniczny w branży biotechniki — tak jak Intel, Fairchild, National Semiconductor lub Texas Instruments stały się potentatami w mikroelektronice. Natomiast 80—90 proc. pozostałych „chałupniczych” firm biotechnicznych zniknie pewnie równie szybko, jak powstały.

Prawie nikt jednak nie wątpi, że inżynierowie — genetycy razem z wielkim przemysłem dotrzymają wiele z tego, co obiecuje dziś biotechnika. Wiele rzeczy to jeszcze science fiction, ale również wiele dojrzewa już w komorach fermentacyjnych laboratoriów.

5. NAJSZYBCIEJ W MEDYCYNIE

Jak dowodzi przykład insuliny, technika genowa najszybciej chyba znajdzie zastosowanie w medycynie. Nadzieje dotyczą przede wszystkim możliwości produkowania — za pomocą manipulowania mikrobami — interferonu w ilościach rozsądnych z ekonomicznego punktu widzenia. Interferon może się okazać skutecznym środkiem antyrakowym, a także lekiem na wszelkie choroby wirusowe i zwykły katar. Dotychczas interferon uzyskuje się z białych ciałek krwi. Procedura ta jest tak kosztowna, a uzyskiwane ilości interferonu tak niewielkie, że gram tej substancji kosztuje 100 mln DM. Dzięki technice genowej będzie można uzyskiwać tyle interferonu, że wystarczy to na eksperymenty na szerszą skalę.

Technika genowa będzie dostarczać wszelkich możliwych hormonów, np. hormonu wzrostu; Genentech zapowiada wypuszczenie go na rynek jeszcze w tym roku. Ludzki hormon wzrostu może przyspieszyć gojenie się ran, może także pomagać w leczeniu zahamowania wzrostu u dzieci. Zwierzęce hormony wzrostu obiecują zwiększenie zysków w hodowli bydła i świń. Uczeń z Uniwersytetu Pensylwanii wszepił już embrionom myszy kod genetyczny hormonu wzrostu szczurów. Rezultat: ogromne myszy, podwójnej wielkości.

Przez łączenie komórek limfatycznych, które produkują antycyjal, z komórkami rakowymi daje się uzyskać cudowne środki medyczne: maksymalnie czyste antycyjal, umożliwiające szybszą i dokładniejszą diagnozę oraz terapię o wiele lepiej dostosowaną do choroby. Technika genowa umożliwi otrzymanie szczepionek przeciwko zakaźnemu zapaleniu wątroby, malarrii, cholerze, opryszczce (herpes) i wielu innym chorobom. Mikroby poddane manipulacji mają dostarczać i innych substancji białkowych, które np. będą lepiej hamowały lub zwiększały krzepliwość krwi niż środki tradycyjne. Dzięki technice genowej może wreszcie stanąć się realna pigułka antykonceptyjna dla mężczyzny. Wreszcie technika genowa otwiera w dalszej przyszłości drogę do korygowania pewnych chorób dziedzicznych.

Od setek lat mikroorganizmów i enzymów używa się do wytwarzania produktów żywnościowych. Bakterie, powodując fermentację, zamieniają mleko w jogurt i ser. Drożdży używa się do fermentacji alkoholu i do pieczenia. Dzięki technice genowej wszystkie te mikroorganizmy można udoskonalić — albo nadać im nowe właściwości, albo zwiększyć ich oddziaływanie i stworzyć tańsze procesy technologiczne. Tak np. piwowarowie chcieliby mieć takie drożdże piwne, które umożliwiłyby produkcję niskokalorycznego piwa. Amerykańska firma Collaborative Research zmusiła bakterie do produkowania podpuszki, która powoduje śnięcie się białka mleka. W przyrodzie enzym ten, potrzebny przy produkcji serów, występuje tylko w żołądkach ssących cieląt. Koncern chemiczny Dow wypuszcza tę bakterijną podpuszkę na rynek.

Hoechst od dawna pracuje nad mikroorganizmem methylomonas clara, który przetwarza metanol w białko jednokomórkowe — prymitywny rodzaj żywności, która dla człowieka jest niesmaczna, ale może stanowić paszę dla bydła. Ranks Hovis McDougal poddaje fermentacji skrobię roślinną i otrzymuje z tego białko grzybowe — też zresztą z lukullusowego punktu widzenia raczej niewypała, nawet jak na brytyjski gust.

6. ROŚLINY SAMONAWOŻĄCE

Na użytek rolników rośliny mają zostać tak zmienione przez manipulowanie genami, żeby przynosiły większe zbiory, rosły na ugorze albo były odporniejsze na choroby. Teoretycznie można rośliny użyteczne tak uodpornić na środki zwalczające chwastów, że nie trzeba będzie stosować oddzielnych herbicydów dla każdej uprawy, lecz wystarczy jeden uniwersalny środek chwastobójczy. Dzięki biotechnice będzie też można zapewne uzyskać nowe, „naturalniejsze” środki ochrony roślin. Być może także pewnego dnia zbędne stanie się nawożenie azotowe: inżynierowie — genetycy robią właśnie doświadczenia z przenoszeniem materiału genetycznego z bakterii, które potrafią wiązać azot z powietrza, do roślin uprawnych, które w ten sposób też mogłyby potrzebny im azot brać bezpośrednio z powietrza.

Technika genowa obiecuje też wiele nowych leków dla zwierząt, przede wszystkim zaś skutecznego środka przeciwko zarazie pyska i rąci. Produkcja tego środka przy zastosowaniu techniki genowej będzie o wiele mniej niebezpieczna, niż obecny sposób wytwarzania w zamkniętych obiektach.

Zanim przemysł chemiczny odkrył węgiel i niegdyś tanią ropę jako główne surowce, większość chemikaliów uzyskiwano z surowców zwierzęcych i roślinnych, w skrócie z biomasy. Od kiedy ceny ropy naftowej niebotycznie podskoczyły, chemia znów zaczęła się interesować biomasą jako surowcem.

Biotechnika umożliwi „łagodną” chemię: surowce biotechniczne „odrastają”, nie mogą się więc wyczerpać, jak węgiel czy ropa naftowa; ich przerobka odbywa się w niższych temperaturach i pod mniejszym ciśnieniem niż procesy petrochemiczne — wymaga więc znacznie mniej energii; bioprocessy to często procesy jednoetapowe, zatem wygodne; na koniec nie zanieczyszczają one środowiska naturalnego.

Biotechnika mogłaby więc połączyć dwa wrogie obozy: obrońców środowiska i przemysł chemiczny. Wytwarzanie gazu z biomasy to „miękką” techniką, wysoko cenioną przez alternatywnych. Przemysł chemiczny mógłby przyczynić się do jej zastosowania na szeroką skalę. Amerykański specjalista od biologii molekularnej, Leslie Glick, założyciel firmy Genex, ocenia, że w niedalekiej przyszłości biotechnika dokona przemian w jednej czwartej całej produkcji chemicznej.

7. NIE BĘDZIE ODPADKÓW

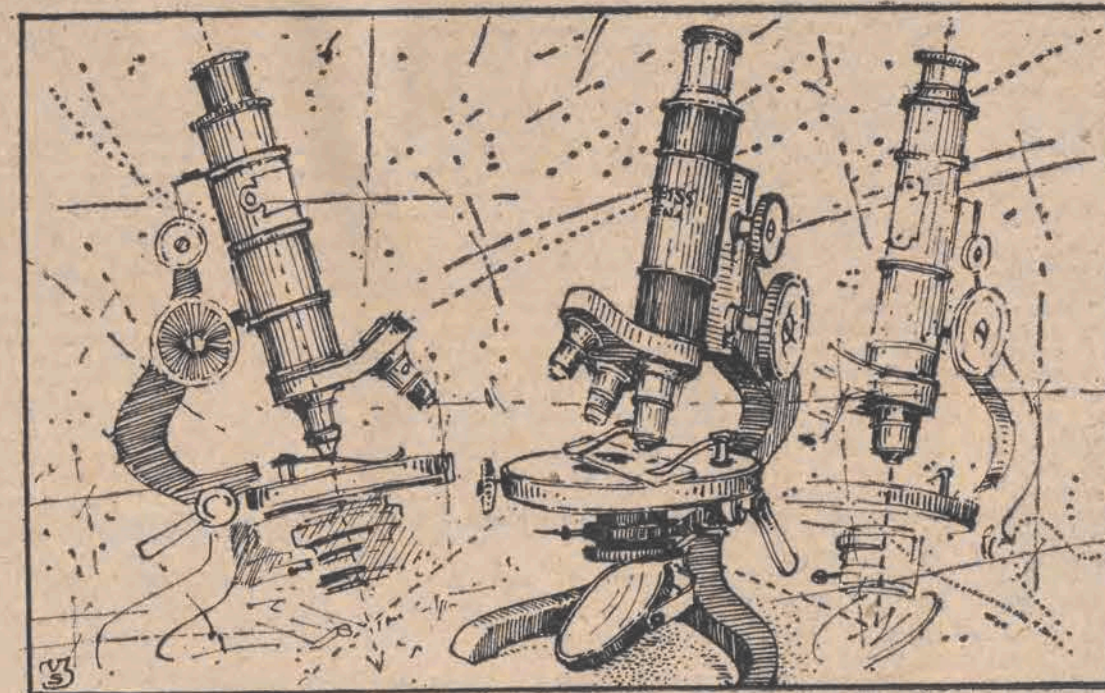
Wreszcie, mikroby ulepszone genetycznie będą skuteczniej niż dotąd przerabiały wiele odpadów na substancje nieszkodliwe lub nawet użyteczne. Już dziś bakterie hodowane w sposób konwencjonalny czynią cuda w oczyszczalniach zakładów chemicznych. Udoskonalone mikroorganizmy będą mogły przerabiać ropę rozlaną na morzu na paszę dla zwierząt. Inne bakterie wykorzystuje się przy pozyskiwaniu metali kolorowych. Ich roztworem spryskuje się mało wydajne złoża odkrywkowe i następnie osad tych bakterii wytrawia metal z kamienia. W podobny sposób za pomocą mikrobów można ekonomicznie eksploatować nawet najuboższe złoża ropy naftowej.

Kandydaci do zarabiania na biotechnice muszą dysponować trzema rzeczami:

— Dużą ilością pieniędzy: wyprodukowanie jednego jedynego nowego leku trwa około 10 lat i kosztuje 80—100 mln DM.

— Dostępem do wyników badań podstawowych, prowadzonych głównie na uniwersytetach, a częściowo także w czolowych firmach „venture capital”.

— Umiejętnością przetwarzania wiedzy podstawowej w produkty i wytwarzania ich na skalę przemysłową.



Rys. Janusz Szymański-Oleś

(DNE ZET)

Tam gdzie dachy słomą kryte (2)

JERZY ŻUKOWSKI

Obóz przymusowej pracy Baudienst (służba budowlana) założono około Wielkanocy w 1943 roku. Wcielono do niego przymusowo młodych Polaków powyżej 16 lat, pochodzących z okolic Piotrkowa Tryb., Rawy Maz., Kolušek. Pracowali oni pod kierunkiem niemieckich majstrów na różnych budowach.

Baudienst Kaletnik znajdował się w pobliżu Kolušek na dużej leśnej polanie przy szosie Zakowiec — Bedzelińsko — 500 metrów od skraj lasu. Na wzór rzymski, obóz miał kształt prostokąta o wymiarach 90 na 150 metrów i otoczony był ziemnym wałem z rowem od wewnątrz, na którym był płot z drutu kolczastego o wysokości 2,5 metra z jedną bramą wejściową, umiejscowioną pośrodku węższego boku przylegającego do szosy. Na lewo od wejścia mieściła się wartownia. Do służby warowniczej wybierano tzw. zaufanych młodych ludzi, których Niemcy mieli nadzieję z czasem zgermanizować, tak jak i wszystkich innych chłopców z obozu. Na prawo od bramy był barak kancelarii i administracji oraz pomieszczenia dla majstrów.

Na terenie obozu, początkowo nie mając ze sobą kontaktów, działały tajne organizacje AL, NSZ i AK. W ruchu oporu zorganizowanych było łącznie ok. 50 ludzi, którzy należeli również do zgrupowań spoza obozu.

Akcja na Baudienst została starannie przygotowana najpierw od wewnątrz przez te organizacje — głównie AK, którym przewodził kpr. Kres (Stanisław Iwan), pchor. Wil (Teodor Zep) i st. strz. Burza (Józef Marszałek).

Pchor. Sam przedstawił plan opanowania obozu, co powinno nastąpić przez zaskoczenie i bez hałasu. W czasie akcji warty miały być trzymane przez ludzi z organizacji, którzy zastąpią nie wtajemniczonych i sprzyjających Niemcom wartowników, pod pretekstem skorzystania z wolnego w innych częściach. Rozbrajanie Niemców miało być przeprowadzone przez ludzi spoza obozu ze względu na bezpieczeństwo rodzin chłopców, którzy po udanej akcji mieli dołączyć do oddziału. Całość akcji miał ubezpieczać oddział miejscowej „dywersji”. Miejscem spotkania obu oddziałów miało być skraj lasu przy torze kolejowym niedaleko Zakowiec.

9 lipca ok. godz. 23, przy wspaniałej pogodzie oddział Sama dotarł do torów, przeszedł przez nie i wsłuchując w poszybie lasu, zalegi w umó-

wionym miejscu. Sygnałem rozpoznawczym obu grup było hukanie puszczyka. O wyznaczonej godzinie puszczyk odezwał się trzy razy, ale w lesie panowała niezmacona cisza. Puszczyk znowu huknął parę razy i znowu nikt się nie odezwał. Potem puszczyk Sama huknął przez przeszło godzinę, ale z lasu nie było odzewu. Po długim wyczekiwa-

niu, ze względu na późną porę, Sam wycofał oddział z powrotem na kwatery do Felusia. Wszyscy byli źli i zmęczeni, bo przeszli ok. 30 kilometrów zupełnie na próżno.

Następnego dnia przed południem przybyła z Kolušek łączniczka Krystyna z zapytaniem od komendy, dlaczego oddział Sama nie stawil się na akcję „Dywersja” czekała w umówionym miejscu, a chłopcy z Baudienstu czuwali prawie do rana.

Po wysłuchaniu raportu Sama łączniczka wsiadła na rower i pojechała złożyć meldunek w komendzie, a gdy późnym popołudniem przybyła ponownie, opowiedziała, że ludzie z „dywersji” czekali dość długo, bacznie obserwując linię toru, przez którą oddział Sama miał przejść. Nie zauważywszy nikogo, kto przechodziłby w tym czasie przez tor, nie zwrócili wcale uwagi na dobrze hukający puszczyk i około pierwszej w nocy wycofali się lasem do swoich domów.

Otóż „dywersja” nie mogła zauważyć chłopców z oddziału Sama, ponieważ ci po dojeździe do torów wyczekali na moment zejścia księżyca za chmury i wtedy właśnie przekroczyli przez tor, które często patrolowane były przez Bahnschutzów. Spotkania zaś z nimi należało unikać, mając ważne zadanie do wykonania. Po dokładnym opisaniu miejsca, gdzie czekała „dywersja”, okazało się, iż dzielili ją od oddziału Sama zaledwie 150 metrów.

Po wyjaśnieniu powodów nocnego pecha Krystyna oznajmiła, że dowództwo poleciło ponownie przeprowadzenie akcji tejże nocy, podała czas i bardziej pewne miejsce spotkania. Dla uniknięcia pomyłki sygnał rozpoznawczy pozostał ten sam.

Pod wieczór ponownie zaczęto przygotowywać się do wyprawy, a gdy zapadł zmierzch, oddział powędrował znana już z poprzedniej nocy drogą na nowe miejsce spotkania z „dywersją”, wyznaczone niezbyt daleko od pierwszego. Był tam pół godziny przed czasem. Dokładnie o wyznaczonej porze puszczyk zahukał trzy razy, po paru

chwilach znów trzy razy i jeszcze trzy razy, ale i teraz żadnej odpowiedzi z lasu nie usłyszano. Gdy w pewnej chwili dał się słyszeć głos puszczyka, ucieszono się, że nareszcie dojdzie do spotkania, lecz wkrótce puszczyk umilkł. Chłopcy zaczęli pogwizdywać — najpierw cicho, potem coraz głośniej, ale i na to nie było żadnej odpowiedzi. Dobrze po północy oddział wycofał się z lasu do wsi Przyłek Duży.

Tym razem Krystyna zjawiła się już z samego rana, a gdy dowiedziała się wszystkiego, zakłęta szpetnie, bo „dywersja” była w umówionym miejscu, a chłopcy w obozie znów czekali w pogotowiu.

Zgodnie z raportem „dywersji”, na miejsce spotkania przybyli oni całą godzinę wcześniej i hukali im puszczyk, ale wysoko nad głowami, więc prawdopodobnie gdy odezwał się puszczyk od Sama, nie odróżnili go od prawdziwego. Późniejsze gwizdanie wzięli za nawoływanie powracających z przepustek chłopców z Baudienstu. W taki sposób na skutek niepomysłnego zbiegu okoliczności akcja nie doszła do skutku po raz drugi. Po umówieniu się z komendą i organizacją działającą w obozie, postanowiono jednak próbować trzeci raz.

Niestety, gdy oddział Sama dotarł na miejsce spotkania i w oznaczonym czasie rozpoczęło hukanie, później gwizdanie, a nawet pokrzykiwanie, znów nie było żadnego odzewu. Chłopcy zalała przysłowio- wą krew, a pchor. Sam powiedział:

— Z tymi sukisynami nie możemy się spiknąć, a w obozie chłopaki czekają już trzecią noc. Idziemy sami, bez obstawy, jakos powinniśmy dać sobie rade.

Po krótkiej naradzie zmieniono zadania dla kilku ludzi. Zamiast siedemnastu, którzy mieli wejść na teren obozu, wyznaczono do tego tylko osiemu, gdyż sześciu — w dwóch trójkach — musieli zająć ubezpieczające stanowiska przy szosie i przeciąć druty telegraficzne w odległości około kilometra od bramy. Dwóch partyzantów miało rozbroić wartowników, a jeden stanąć przy bramie. Przed ruszeniem do akcji jeszcze raz rozważano się w pobliżu chwilewego postoju i nie znalazłszy nikogo, zachowując bezwzględnie ciszę, oddział poszedł przez las w kierunku obozu. Zgodnie z planem zajmowanie obozu miało się rozpocząć w 15 minut po wymarszu na stanowiska ubezpieczających akcję trójek. Patrol Losia poszedł na lewe

skrzydło, a trójka Kapra, zapopatrzona w nożyce do ciecicia drutu, udala się na prawe skrzydło, to jest w stronę Zakowiec, przez które z Kolušek mogłaby nadejść ewentualnie pomoc dla zaatakowanego obozu.

Po dojeździe na wyznaczone miejsce, strz. Swierk z patrolu Kapra zdjął buty i złożywszy na nogi pas od spodni, zaczął wspiąć się na słup telegraficzny. Ku zdziwieniu patrzących z dołu kolegów robił to jak zawodowy cyrkowiec. Wydało się, że wszystko przebiega zgodnie z planem — cicho i bez hałasu. Niestety, gdy przecięty przez Swierka drut spadł na ziemię, w leśnej ciszy rozległ się nagły niespodziewany dźwięk. Straszliwy jęk drutów popłynął wzdłuż linii telegraficznej, piosząc spiące ptactwo, które zrywało się w powietrze z krakaniem.

Tymczasem pchor. Sam przydrzonym rowem doprowadził grupę szturmową pod bramę Baudienstu, gdzie znowu zatrzymano się na krótki czas, bacznie obserwując oboz. Podneczenie przyciążonych w rowie partyzantów rosło z każdą chwilą. Uda się, czy nie? Czy wartownik przy bramie jest nasz, czy też przypadkiem obcy?

W pewnej chwili Sam szepnął: — Naprzód. Jazda, chłopaki! Grupa szturmowa chyłkiem przebiegła szosę, dzieląc ją od bramy. Wartownik nie zdążył się nawet odezwać „Stój! Kto idzie?”, gdy usłyszał ciche: — Recę do góry!

Było to umówione hasło, znane tylko wtajemniczonym.

Wartownik, strz. Berkut (Jan Galicki), który tylko czekał na te słowa, usunął na bok kozły hiszpańskie, blokujące wejście, szybko i chętnie podniósł ręce do góry, oddał swój karabin i pas z ładownicą, mówiąc przy tym cicho, że inni od dłuższego już czasu czekają w różnych miejscach na terenie obozu.

Po „załatwieniu” wartownika postawiono jednego z chłopców przy bramie, a dwaj

inni — jak on, uzbrojeni tylko w pistolety — ruszyli każdy w inną stronę wzdłuż wału, rozbrajając, czekających na to, następnych wartowników, którzy po oddaniu broni wskazywali drogę do miejsca zbiórki na centralnym placu.

W tym samym czasie pchor. Sam z pozostałą siódmką iudzi prowadzony przez wartownika sprzed bramy ruszył ośrobinie w kierunku wartowni, którą należało w pierwszym rzędzie opanować, gdyż zgromadzona była tam broń Baudienstu. (Osobista krótką broń mieli przy sobie zatrudnieni w obozie Niemcy). Nagle z mroku wynurzyły się dwie postaci. Jedną z nich podeszła od idącego przodem Sama, który usłyszał: — Dalej ja was poprowadzę. Byli to Burza i Kres, którzy wraz z Wittem organizowali od wewnątrz rozbić oboz, a potem przyłączyli się do oddziału.

Gdy podeszli do wartowni, zobaczyli, że drzwi otwarte są na oścież. Była wspaniała, ciepła noc. Wnętrze oświetlała jedna, osłonięta tekstura lampą. Przy stole siedziało dwóch ludzi. Po obstawieniu okna Grom, Nero i Nurek weszli do środka i wymierzili swoje dwa steny i karabin w spiętych przy stole oraz innych, którzy w głębi wartowni leżeli na przycz. Grom krzyknął: — Hande, hoch, wir werden schiessen blieb ruhed!

Wyrywani ze snu, zaskoczeni niemiecką komendą wartownicy podnieśli posłusznie ręce do góry, a gdy zorientowali się, iż pomiędzy nimi a stojącymi z bronią stojącymi trzej osobnicy z wymierzonymi w nich lufami, na okrzyk Groma „Padnij!” posłusznie zeszli z przycz i położyli się na podłodze wartowni. Zaskoczenie było całkowite.

Gdy Grom ze swoją grupą opanował wartownię, a dwaj inni — barak administracji, pchor. Sam w towarzystwie Burzy i Kresa poszedł do baraku, w którym mieszkał komendant-inspektor Baudienstu Kaletnik.

Kreuzer grał ostatnią już partię szachów z jednym z majstrów, kiedy usłyszał czyjeś kroki na chruszczącym żwirze przed swoim barakiem. Podniósł głowę znad szachownicy i ku wielkiemu zdumieniu zobaczył wskazującego przez otwarte okno Sama, który mierzył w niego ze swego stena. Komendant odruchowo podniósł słuchawkę stojącego obok aparatu telefonicznego i przyłożył ją do ucha. Telefon był głuchy. Po chwili od strony drzwi dało się słyszeć „Hande hoch” Burzy i dopiero na to wezwanie obaj szachisci podnieśli ręce do góry, nie bardzo jeszcze rozumiejąc, co się właściwie stało.

W rogu pokoju leżała na łóżku żona komendanta i czytala książkę. — Wiem, że umie pani dobrze strzelać — powiedział do niej Sam — ale nie radzę nawet próbować, bo cały obóz opanowany jest przez partyzantów.

Następnie wytłumaczył Kreuzerowi, jaki jest cel wizyty oddziału w obozie, zaznaczając przy tym, że jeżeli nie będzie stawiał oporu, to nikomu nie zlega się nie stanie. Wkrótce zjawił się Grom, meldując, że wartownia opanowana, trzech niemieckich majstrów wie rozbrojono i doprowadzono na wartownię, gdzie trzymają się pod dobrą strażą.

— Ponieważ w takiej sytuacji nie jestem w stanie przeociwdziać — powiedział wówczas czas łamaną polszczyzną komendant — zmuszony jestem podać obóz i wydać posiadaną broń oraz to, co panowie sobie życzą. Mam nadzieję, że panowie dotrzymają słowa i nikt z nas nie będzie skrzywdzony.

c.d.n.

Opracował i do druku podał:

PAWEŁ TOMASZEWSKI



Oto jedno z zachowanych do dnia dzisiejszego zdjęć partyzanckiego oddziału pchor. Sama. Pierwszy z lewej stoi autor wspomnień — Jerzy Żukowski.

Pierwsi ratownicy

EDWARD BRYL

Ponad osiemdziesiąt procent ofiar wypadków ginie na miejscu, jeszcze przed przyjazdem zespołów reanimacyjnych! Zwykle odciera się tłum gapiów, często obecny jest już radiowóz MO, jednak pierwszej pomocy nikt im nie oferuje. A przecież wyrwać człowieka śmierci można jedynie pod warunkiem, że ratunek przyjdzie natychmiast, zanim nastąpi zmiana biologiczna, zaraz po ustaniu akcji serca, a więc przed upływem pięciu minut.

Dzisiaj oswobodziłam się z widokiem karettek „R”, pędzących na sygnał, rzadko kto pamięta, że jeszcze nie tak dawno nasza służba zdrowia nie miała żadnych możliwości błyskawicznego reanimowania. Pierwszy w Polsce zespół „R” wyjechał za bramę Łódzkiego pogotowia dopiero 19 stycznia 1968 roku. I wtedy jeszcze nie oznaczało to zwycięstwa nad czasem i śmiercią. Niebawem okazało się, że nie jest w stanie spełniać należycie swych zadań. W warunkach wielkomiejskich czas dojścia do chorego przekraczał nierazdo krytyczne pięć minut, a jeśli nawet udało się dotrzeć w porę i podjąć zabieg reanimacyjny, to Łódzkie szpitale nie były jeszcze przygotowane do tak wysoko specjalizowanej pierwszej pomocy. Zorganizowano izby przyjęć, powołano oddziały intensywnej pomocy. Była to praca ogromna, ale szybko się z nią uporano. I już na koniec września 1970 roku mógł wyszaleć drugi zespół reanimacyjny o profilu kardiologicznym.

Jednak czas dojścia często stanowił nadal niepokonalną przeszkodę. Z uwagi na wysokie koszty i brak odpowiedniej liczby fachowego personelu nie można było zorganizować więcej zespołów po to, aby rozstawić je w dzielnicach. Nawet jeszcze dzisiaj te trzy jedzące — dwa kardiologiczne i jeden reanimacyjny — mają kłopoty z obsadą. Prawidłowo winno stanowić ją dwóch lekarzy: kardiolog i anesteziolog. A bywa różnie, zwłaszcza w godzinach przedpołudniowych, kiedy w pogotowiu są pracownicy elatowi. Do karetki „R” lub „K” wsiada, kto jest aktualnie pod ręką; internista z pierwszym stopniem specjalizacji, okulista, lekarz chorób zakaźnych, medycyny przemysłowej, etc. Jest to trochę dziwne, bo w końcu Łódź ma dwie akademie medyczne i lekarzy też nie ma. Problem tylko w prawidłowym ich wykorzystaniu. Polityka kadrowa Wydziału Zdrowia i samego pogotowia jest nieprzemysłowa. Ostatnio rotacja w pomocy doraznej jest duża, a vacat na stanowisko kierownika „metowcu” trwa wiele miesięcy, podobnie dzieje się w dziale usług. Fachowcy z predyspozycjami i ambicjami odchodzą z pogotowia, długo miejsca w tym środowisku zagracać nie mogą. Dlaczego? Sami zaś lekarze nazywają je „zakładem pracy chłonącej”.

Obecnie, tak samo jak przed laty, nacisk trzeba położyć na wykształcenie „pierwszych ratowników”, którzy mogliby udzielić pomocy jeszcze przed przyjazdem zespołów reanimacyjnych. Łódzka Szkoła Ratownictwa w kwietniu br. obchodzi dziesięciolecie swego istnienia, a mało kto wie, że jest to pierwsza w świecie placówka tego typu, z dużymi osiągnięciami liczącymi się na rynku międzynarodowym.

Niestety, u nas zupełnie nie doceniana. Powstała w 1973 roku. Inicjatorami jej założenia byli: adiunkt w Zakładzie Reanimacji i Anestezjologii AM, obecny członek zespołu konsultantów krajowych przy ministrze zdrowia, doc. dr hab. JANUSZ WARA-WASOWSKI i ówczesny dyrektor WSPR, dr JAN MATCZAK, który podjął odpowiedzialną i ryzykowną decyzję. Przez pięć lat szkoła działała na „wariackich” papierach, zanim uzyskała status prawny. (Instrukcja 3/78 ministra zdrowia i opieki społecznej z dnia 12 marca 1978 r.). Grupa specjalistów złożona z anesteziologów, kardiologów, toksykologów, chirurgów traumatologów i organizatorów doraznej pomocy, która urzędowo powoływała zespoły reanimacyjne, opracowała programy naukowe dla lekarzy, pielęgniarek, ratowników drogowych, wodnych, górniczych, wewnętrzzakładowych. Nabyto sprzęt i pomoce naukowe, rozpoczęła się systematyczna współpraca z AM, WAM, Wydziałem Elektrycznym Politechniki Łódzkiej, a także wojewódzkimi ośrodkami szkolenia kadr medycznych.

Ożywiona działalność naukowo-dydaktyczna spowodowała, że już od początku placówka ta znalazła szerokie uznanie. W 1977 roku Konferencja Ekspertów Pomocy Doraznej Krajów RWPG wysoko oceniła jej zalety, wówczas czteroletnie doświadczenia, podobnie międzynarodowy zjazd w Oslo w roku 1979, poświęcony pierwszej pomocy ofiarom wypadków drogowych stwierdził, że łódzkie wzorce są godne rozpoznać na całym świecie.

W kraju jednak nie rozumiano natężyć potrzeby szkolenia pierwszych ratowników. Wymieniano już wcześniej instrukcja Ministerstwa Zdrowia z dnia 12 marca 1978 roku powoływała wprawdzie dalsze zespoły ratownictwa, anulując jednocześnie program naukowy dla kadr MO, ORMO, straży pożarnej, służby drogowej — kształceniem tych grup zawodowych miały się zająć wojewódzkie zarządy PCK, zaś szkoły ratownictwa miały objąć wyłącznie służbę zdrowia.

Był to oczywiście paradoks, bo studia i szkoły średnie medyczne winny kształcić również w zakresie reanimacji, a szkoły ratownictwa uczyć pierwszej pomocy przedmedycznej pracowników służb społecznych. Tymczasem sprawa ta leży całkowicie odłogiem, gdyż wojewódzkie zarządy PCK z braku odpowiedniej kadry i warunków nie podjęły tychże szkoleń do tej pory.

Reanimacja dopiero od czterech lat obowiązuje jedynie w Akademii Medycznej w Łodzi, i to bez egzaminów. Wiele nieradko na kilku-seś studiujących (na szóstym roku) na wykłady przychodzi 10, 12, a bywa, że mniej niż pięciu studentów.

Z inicjatyw Wydziału Konsultantów Wojewódzkich, na wniosek doc. J. Wara-Wasowskiego, dopiero od 1975 roku każdy lekarz przygotowujący do specjalizacji pierwszego i drugiego stopnia, musi odbyć szkolenie reanimacyjne i przejść czterydzieci godzin w karetce pogotowia, inaczej nie zostanie dopuszczony do egzaminu. Szkoła tylko, że wprowadzono to jedynie w Łodzi. Zie jest, że od chwili, gdy lekarz zrobi specjalizację, może już do końca życia nie wziąć do ręki fachowej literatury. Nie zna języków obcych, staje się wrotnym alfabetem medycznym. W praktyce, w Polsce nie ma szkolenia podplomowego.

Komunikat ministra zdrowia i opieki społecznej z dnia 30 maja 1978 roku, pkt. 9, w sprawie postępowania w razie polekowego wstrząsu anafilaktycznego, mówi:

„Medycyni pracownicy służby zdrowia, wykonujący wstrzyknięcia leków, powinni posiadać wiadomości i praktyczne przeszkolenie w zakresie podstaw reanimacji krążeniowo-oddechowej. Obowiązek oszkolenia (co sześć miesięcy, np. w ramach planowanego szkolenia

wewnątrzzakładowego) spoczywa na dyrektorach zakładów służby zdrowia. Prawnie zobowiązani są do tych szkoleń także lekarze z drugim stopniem specjalizacji” — niestety. W żadnym ZOZ w Polsce nie takiego się nie odbywa. Zarządzenie swoją drogą, a życie swoją... Sprawa Ochotniczej Łódzkiej Pomocy Drogowej też jest traktowana w Polsce po macoszemu. W całej Europie lekarze ci są honorowani, ale nie u nas. Nie mają nawet najmniejszych udogodnień, ich wyposażenie, skład którego ustalało Ministerstwo Zdrowia, pozostawia wiele do życzenia — w walizkach pełno zastrzyków, a nie ma najprostszych, najpotrzebniejszych rzeczy, np. maseczki do oddychania usta-usta.

Jest także niezrozumiale, dlaczego Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej, mimo nadania statusu prawnego szkołom ratownictwa, pozostawia je własnemu losowi. Prowadzone są prawie że społecznie, nie posiadają własnego budżetu, nie mogą opłacać wykładowców nie będących pracownikami służby zdrowia. A i stawki dla prowadzących kursy są symboliczne. Łódzka szkoła znajduje się w trudnej sytuacji, żeby nie grupka zapaleńców, dawno przestalaby istnieć. Należą do nich JANUSZ WARA-WASOWSKI, RYSZARD BUHL, ANTONI MAJKA, JAN MATCZAK, JERZY BIAWAN — są to hobbyści, a ich działalność spełnia nieposlednią rolę. Brak środków uniemożliwia wymiennie zużytego sprzętu, który zresztą można zakupić tylko za dewizy. Nikt w kraju dotąd nie zainteresował się jego produkcją, nie ma nawet możliwości naprawy. To wszystko jest powodem, że liczba szkoleń jest bardzo ograniczona. Do tej pory przeszkolono tu dwanaście tysięcy pięciuset osób. Mimo swej pionierskiej, wodzącej roli placówka ta nie jest należycie doceniana. Przez całe lata mieszkała się w ciasnej Stacji Pogotowia Ratunkowego, zajmując dwa niewielkie pomieszczenia. Zresztą stacja pomocy doraznej zajmują budynki absolutorium nie przystosowany, uragający wszelkim potrzebom pogotowiarskim. Szkoła Ratownictwa, decyzją prezydenta Łodzi, Józefa Niewiadomskiego, otrzymała nowe lokum przy ulicy Gdańskiej 90, ale jego dotychczasowy użytkownik, Zespół Rzeczoznawców PZM, nie chciał go opuścić przez ponad rok, a potem, wprowadzając się, pozostawił zdewastowane pomieszczenia.

Łódzka Szkoła Ratownictwa, mimo że decyzją ministerstwa ma sprawować nadzór merytoryczny nad pozostałymi, w praktyce nie ma żadnych możliwości kontroli. Szkoły nie działają, zakupiony za dewizy sprzęt leży nie wykorzystany. Takie stawianie sprawy jest niezrozumiałe. Reanimację należałoby na stałe włączyć do programów studiów medycznych, szkół pielęgniarskich, także do programów innych uczelni i szkół średnich. Wprowadzono ją, ale w Norwegii. Czy zawsze musimy się więc w ogonie człowieka światowej, mimo że stać nas na dobre pomysły i zetałną pracę? Resort zdrowia niewiele zrobił, aby rozwożać rodzinę osiągnięcia w stosowaniu pierwszej przedmedycznej pomocy wypadkowej. Szkoły Ratownictwa powinny ruszyć pełną parą we wszystkich województwach. Szkoleń w nich należy behapowców, obrone cywilną, kierowców pojazdów samostowich i prywatnych, taksówkarzy, wszystkich pracowników służb społecznych. Prawdopodobnie długo nie będzie nas stać na powołanie w pomoc doraznej wystarczającej liczby zespołów reanimacyjnych. Już dzisiaj pogotowia są niewydolne, dlatego trzeba się oprzeć na szkoleniu pierwszych ratowników, którzy przyjdą w sukurs całej służbie zdrowia, a przede wszystkim ludziom potrzebującym nagłej pomocy.

1

Zdarzenia i zwierzenia

jak zwykle o sobie i swoim ojcu". Koniec cytatu.

Każdy średnio czytany Polak wie, kto to jest „Stasio Rysio”. Jeśli ten znany pisarz zasługuje na to, aby go publicznie nazwać blaznem, to co powiedzieć o Putramencie, który od kilkunastu lat też nie robi nic innego, tylko pisze — choćby w „Pół wieku” — o sobie i swoim ojcu?

Osiem tomów „Pół wieku” jest moim zdaniem kapitalnym dokumentem czasów. Jest to także fotografia psychiki pisarza politycznego, jakim jest Putrament. Czytałem i czytam te memuary z zainteresowaniem, ale ostatnio ich ton staje się nieznośny. Być może w ten sposób objawia się zgorzknienie?

JERZY WILMAŃSKI

2

Lewym okiem

Kolejne tomy „Pół wieku” Jerzego Putramenta czytałem zawsze z zainteresowaniem. Najwyżej cenię dwa pierwsze tomy: „Młodość” i „Wojna”, ale także pozostałe zawierają ogrom — subiektywnych obserwacji — informacji o naszym czasie. Bywało, co prawda, że Putrament uciekał w swoich wspomnieniach w opowieści o wędkarstwie, ale w sumie zawsze czytało się te memuary z ciekawością.

Z ciekawością zresztą czyta się je nadal, drukowane dziś w odcinkach na łamach „Literatury”. Z ciekawością, ale także z rosnącą irytacją. Putrament nieraz miał język niewyparzony, nieraz wygłaszał opinie i wystawiał ludziom cenzurki apodyktycznie i ostro. Dla Czytelnika mogło to nawet mieć swój urok — zwłaszcza, że Putrament starał się swoje poglądy uzasadniać.

Często zresztą stosował kryptony, które — choć przejrzyste — łagodzą jakoś apodyktyczność ocen.

Ostatnio czytam kolejne odcinki „Pół wieku” i dochodzę do wniosku, że Putrament zamienił atrament na żółć. A ponieważ Redaktorowi Naczelnemu nikt tekstów nie adiuśtuje, lecą w „Literaturze” wywiska i inwektywy. Niestety, na poziomie magla.

Oto przykłady z numeru kwietniowego „Literatury”. Pisze Putrament: „Przeżytałem tekst Melkowskiego. To jest skonieczony oświ. Można by z niego zrobić salami, to jedyny pozytyw z osłębiny...”. Koniec cytatu.

Przepraszam bardzo, ale skoro Czytelnik nie wie, o jaki tekst znanego i cenionego krytyka chodzi, nie wolno w ten sposób obrażać. Może Putrament myślał że to dowcipne? Może wcale nie pomyślał?

Przykład drugi. Pisze Putrament: „Kraśce mówią, że właśnie się ożenił z 28-letnią dziennikarką z „Interpressu”. Biedactwo, wykończy go w parę miesięcy. Ktoś z telewizji potwierdza o Kraśce To pewno to, co spowodowało jego drugi zawal...”. Koniec cytatu.

Nie wiem — może to wszystko prawda, ale wiem z całą pewnością, że jest to na poziomie prymitywnych, babskich plot. No i można pogratulować betonowego poczucia taktu wobec zmarłego i jego rodziny. A przecież parę stron dalej przyznaje Putrament, że tak wiele Kraśce zawdzięcza i że był mu on bardzo bliski. Więc trudno mi to wszystko zrozumieć.

Co się stało z Putramentem, że złośliwość, zjadliwość ironii, a także autoironia tych memuarów zaczyna zamieniać na magiel i chamstwo?

Ala przepraszam nie zawsze. Kiedy pisze o „glupocie pomysłów” pewnego działacza centralnego szczebla nie wymienia jego nazwiska, kryjąc je pod literką M. Wobec kolegi pisarza można użyć nazwiska, wobec urzędnika Putrament jest bardziej ułożony.

Bnijmy dalej w te wspomnienia. Pisze Putrament: „Przemówił ten blazen Stasio Rysio,

to ważne. Ze zdziwieniem na przykład obserwuję już od kilku lat, a w ostatnim czasie ze zdziwieniem podwójnym, jakim to niezmiernie istotnym i śmiertelnie poważnym problemem jest piosenka. O piosenkach pisze się i pisze, wyspecjalizował się już cały legion publicystów nie piszących o niczym innym, tylko o tekstach, piosenkarzach, rytmach i coraz dziwniej nazywających się zespołach (jest już nawet zespół o gustownej i pełnej wdzięku nazwie „Seksja zwłok”). Nie oburzam się, bo szkoda zdrowia. Niektóre redakcje — jak niedawno „Kobieta i życie” — otrzymują listy od czytelników z żądaniem szerszego dopuszczenia na łamy tematyki piosenkarckiej. Można do tego dorobić ideologicznie, to można zawsze i to się robi. Wspomniani już wyspecjalizowani publicyści z zadaniem godnym o wiele lepszej sprawy biją w największe dzwony, rozpływają się o „akcjach”, „kampaniach” i „epokach” (epoka rock and rolla...), doszukują się podtekstów tam, gdzie jest tylko jarmarczna grafomania i wielkiego „nowatorstwa”, kiedy chodzi o sprytne uduchowanie w aranżacji. Bardzo lubię i lubię śpiewać, doceniam potrzebę rozrywki, sam napisałem bardzo wiele tekstów i mimo to uważam nadal, że gargantyczny wymiar, jaki się nadaje tym sprawom w środkach masowego przekazu, jest karykaturalnym rysem czasu, w którym żyjemy, jest dowodem ucieczki, eskapizmu; cała intensywność i powszechność tej „akcji” przyniosła już wyraźne, łatwo dostrzegalne i niekoniernie warte zachwytu skutki.

Wyznacznik epoki

„Coś z życia” to znana rubryka na ostatniej stronie „Polityki” w której redakcja zamieszcza króciutkie streszczenia różnych kuriozalnych wiadomości zaczerpniętych z prasy i opatrzone je dowcipnym, złośliwym komentarzem. W tej właśnie rubryce uznano za właściwe podać informację, która powinna się chyba znaleźć na pierwszych stronach dzienników i to pod grubymi alarmującymi tytułami, o ile — oczywiście — dotyczy autentycznego zdarzenia, a nie jest tylko wydumany ku uciesze redaktora michałkiem.

Notatka podaje — nie powołując się na bliźsze źródła — że sąd w Nigerii skazał polskiego marynarza na 42 lata (słownie: czterdzieści dwa) więzienia za posiadanie pistoletu gazowego. Marynarza można by wykupić za kilkadziesiąt tysięcy dolarów, ale — jak dowcipkuje redaktor rubryki — chętni powinni się pospieszyć, bo nigeryjskie więzienia nie przypominają pensjonatów i łatwo można się spóźnić...

Smieszne, nie? Czterdzieści dwa lata! Najstraszniejszy mordercy, zwyrodniali sadyści uprawiający latami swój proceder, mający na sumieniu tortury i niewyobrażalnie okrutną śmierć tysięcy kobiet, dzieci i starców, skazywani są na parę lat i zwalniani natychmiast do domu z powodu słabego zdrowia, a tu czterdzieści dwa lata za pistolet gazowy który w wielu krajach świata nosi się w pełnym blasku prawa jako dobry a nieszkodliwy środek obrony przed napaścią i nikt nie zaprotęstuje, nikt niczego nie podpisze żadne mass media nie zająkną się w obronie młodego człowieka, pogrzanego życiem? I skończy się na skwitowaniu tragedii dwoma zdaniem w przedmówczej rubryczce?

O poważnych sprawach pisze się na dalekim marginesie, a jednocześnie całe kolumny zajmują tematy naprawdę ma-

łażące. Ze zdziwieniem na przykład obserwuję już od kilku lat, a w ostatnim czasie ze zdziwieniem podwójnym, jakim to niezmiernie istotnym i śmiertelnie poważnym problemem jest piosenka. O piosenkach pisze się i pisze, wyspecjalizował się już cały legion publicystów nie piszących o niczym innym, tylko o tekstach, piosenkarzach, rytmach i coraz dziwniej nazywających się zespołach (jest już nawet zespół o gustownej i pełnej wdzięku nazwie „Seksja zwłok”). Nie oburzam się, bo szkoda zdrowia. Niektóre redakcje — jak niedawno „Kobieta i życie” — otrzymują listy od czytelników z żądaniem szerszego dopuszczenia na łamy tematyki piosenkarckiej. Można do tego dorobić ideologicznie, to można zawsze i to się robi. Wspomniani już wyspecjalizowani publicyści z zadaniem godnym o wiele lepszej sprawy biją w największe dzwony, rozpływają się o „akcjach”, „kampaniach” i „epokach” (epoka rock and rolla...), doszukują się podtekstów tam, gdzie jest tylko jarmarczna grafomania i wielkiego „nowatorstwa”, kiedy chodzi o sprytne uduchowanie w aranżacji. Bardzo lubię i lubię śpiewać, doceniam potrzebę rozrywki, sam napisałem bardzo wiele tekstów i mimo to uważam nadal, że gargantyczny wymiar, jaki się nadaje tym sprawom w środkach masowego przekazu, jest karykaturalnym rysem czasu, w którym żyjemy, jest dowodem ucieczki, eskapizmu; cała intensywność i powszechność tej „akcji” przyniosła już wyraźne, łatwo dostrzegalne i niekoniernie warte zachwytu skutki.

Byłoby sztyderstwem z nas wszystkich, gdyby historia za najważniejszy wyznacznik naszego czasu uznała właśnie mocne uderzenie i gdyby „późny wruk” nazwał naszą epokę — a raczej ironicznie ją przewal: epoką rocka...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Nagle zastępstwo

Zwolennicy godziwych rozrywek

Dzień 3 Maja nie miał szczęścia do uroczystości. Tylko w krótkim okresie międzywojnia obchodzono był jako święto państwowe, w pierwszych latach Polski Ludowej dogmatycznie patrzyli niechętnie i na samą Konstytucję 3 Maja i na obchody, które obrósły w „kierikalną” i „sanacyjną” otoczkę. Dopiero — na dobrą sprawę — w ostatnich latach oddajemy hołd temu bezprecedensowemu w ówczesnej Europie aktowi prawnemu i jego wielkim twórcom. Stronictwo Demokratyczne przyjęło datę 3 maja jako dzień swego partyjnego święta, a w radio i TV można usłyszeć pieśń „Witaj majowa jutrenko”. Pieśń, którą dwadzieścia lat temu brzmiała niemal jak „Pierwsza brgada”. Nawiasem mówiąc, „pier-

wszą brygadę” też można już usłyszeć oficjalnie i ustrój nam się od tego nie zawala...

Nadal jednak 3 Maja nie ma szczęścia, bo ostatnio dzień ten ulubia sobie podziemna opozycja i — o paradoksie! — zakłóca jego świąteczną atmosferę akurat tak, jak próbuje zakłócić robotnicze święto 1 Maja! Kiedyś 3 Maja był konkurencyjny niejako w stosunku do 1 Maja, teraz dziwnie jednak patrzy się na te dwa bliskie w kalendarzu dni z obydwu stron barykady...

Ze zrozumiałych względów nie miał również 3 Maja szczęścia do uroczystych obchodów w czasie zaborów. Dopiero zabieg trzech zaborczych mocarstw skierowane w stronę Polaków w czasie pierwszej wojny światowej dały szansę na patriotyczne obchody.

Tak więc, dziwnym zaiste zbiegiem historycznych okoliczności pierwszy w Łodzi uroczysty obchód, w 125 rocznicę ogłoszenia Konstytucji 3 Maja odbył się w roku 1916. Przypomnijmy — Łódź była wówczas pod okupacją niemiecką i właśnie Prusacy zezwolili na zorganizowanie uroczystości!

Odbyły się tego dnia w Łodzi nabożeństwa w kościołach wszystkich wyznań ze stosownymi kazaniem, odczytami i co w rodzaju akademii w łódzkich szkołach, uroczysty pochód z Bałuckiego Rynku przez Piotrkowską do katedry. Wielce pouczające jest przedświecenie kto w tych obchodach uczestniczył, a kogo zabrakło. Zabrakło zdecydowanie robotników i lewicy, co w kilka lat po rewolucji 1905 r., a w przeddzień wielkich straszów rewolucyjnych tłumaczy się raczej jasno...

Łódzki przemysł reprezentowali na pochodzie członkowie Stowarzyszenia Majstrów Przemysłu Wióknistego. Ludzi pracy znaleźć jeszcze można było w szeregach Stowarzyszenia Praczek oraz Stowarzyszenia Sług Chrześcijańskich. Ta ostatnia organizacja — wbrew pozorom — nie była żadnym kościelnym bractwem tylko czymś w rodzaju związku zawodowego służby domowej — służących, pokojówek, kucharek, lokaj, stangretów itp. Czemu należało im na określonym wyznaniu członków stowarzyszenia dalipan trudno dziś zgadnąć...

Byli oczywiście duchowni różnych wyznań, członkowie najróżniejszych stowarzyszeń sportowych (np. łódzki oddział Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów), młodzież szkolna — w tym dwie pensje żeńskie! itp. itd.

Prasa reprezentowana była przez dwa tytuły, a właściwie jeden tytuł „Nowy Dziennik Łódzki” z edycją niemiecką o znacznie wyższym nakładzie niż polska — takie to było dziwne miasto polsko-niemiecko-żydowskie ta ówczesna Łódź.

Spośród bardziej oryginalnych związków i stowarzyszeń biorących udział w pochodzie wynotowałem trzy, wydające mi się, jak na pojęcia dzisiejsze, kuriozalnymi. Otóż sformowane w zgrabną kolumnę maszerowało Piotrkowską „Koło Obywatelskie — Polek”. Ki diabeł! Ówczesna Liga Kobiet? Czy raczej ekskluzywnie stowarzyszenie właścicieli majątków ziemskich?

Dalej — Bractwo Żywej Róży (?). Jeśli nie była to jakaś przykościelna organizacja dewocyjna to... chyba masoneria?

Wreszcie, poprzedzone zespołem Teatru Polskiego i Orkiestry Symfonicznej (była w Łodzi, była...) przemierzało Piotrkowską „Stowarzyszenie Zwolenników Godziwych Rozrywek”.

Brzmi to jakby dwuznacznie w dzisiejszej polszczyźnie: z równym powodzeniem może się za tym kryć jakaś społeczna cenzura obyczajowa jak i organizacja nie całkiem prywatnych domów oraz jaskiń hazardu!

To pierwsze wydaje mi się jednak dużo bardziej prawdopodobne. Ciekaw jestem, czy SZGR (Stowarzyszenie Zwolenników Godziwych Rozrywek) w naszych czasach poparłoby ZPR choćby w działalności Maxima czy też Estradę Łódzką w organizacji wyborów Miss Łodzi i okolic, które mają się odbyć niebawem?

ANDRZEJ KAROL

4

Sport

Światowcy nad Wisłą

Byłoby coś pięknego, gdyby wszyscy Polacy mogli zarabiać za granicą, a wydawać w kraju. Mielibyśmy raj na ziemi. Ale jest to niestety niemożliwe. Trzeba najpierw wziąć się do roboty, aby nie raj wprawdzie zbudować, ale do jakiegoś takiego poziomu życia dojść. Póki co, za granicą zarabia niewielu Polaków, a już światowe kariery zrobili nieliczni. My im oczywiście mamy to za złe. Powinni bowiem siedzieć tu z nami i marzyć o raj, którego nie ma i nie będzie.

Oto Łukasz Andrzejewski rozdziera szaty w „Rzeczypospolitej”, bowiem może się zdziwić, że Wojciech Fibak nie przyjedzie do Warszawy, aby zagrać wraz z polską ekipą przeciw Belgom w Pucharze Davisa. Tak się złożyło, że Wojciech Fibak gra w tym samym czasie w turnieju na kortach Forest Hills w Nowym Jorku i nie może być jednocześnie w dwu różnych miejscach, na dwóch różnych polkach w dodatku. Chyba, że przegra w Nowym Jorku, to przyjedzie do Warszawy.

Nie ma się jednak z czego cieszyć, bo polska ekipa z Wojciechem Fibakiem czy bez niego i tak Pucharu Davisa nie zdobędzie, bowiem — jak to pisze Łukasz Andrzejewski — „tenisistów mamy kiepskich”. Zgadza się on nawet z niesmiąłą sugestią Wojciecha Fibaka, że „jesteśmy tenisowa prowincja”. A mimo to ma mu za złe, uważa bowiem, że obowiązkiem Wojciecha Fibaka jest występować w Polsce „raz czy dwa razy w roku”. Podobnie jak to robią wielcy artyści, którzy zdobyli światową sławę, ale o rodzinnym kraju nie zapominają.

Inny znów autor — tym razem w „Życiu Literackim” — wola przewrotnie, aby zabrał „repe precz od Bońka!”, a w rzeczywistości srodze mu „przykład”, że to, że dobrze grał w meczu z drużyną RTS Widzew, a że w meczu z Finami. Ten autor to Ryszard Niemiec. Przypomina on wszystkim, że Zbigniew Boniek wyszkolił się i wyrósł na wielkiego piłkarza właśnie w Wi-

dzwie i dobrze gra teraz w Juventusie, bo tam dobrze grają. Wierzę Bonkowi, że nie liczy pieniędzy... Tym zajmuje się opiekun konta, zaś jego właściciel nie nosi przy sobie nawet książeckiej czekowej... Mierzaj mnie te ciągle zagładnia bliźnim do kieszeni. Ale wróćmy do istoty sprawy.

Ryszard Niemiec był uprzejmy dostrzec złą grę Zbigniewa Bońka w meczu z Finami i dobrą w meczu z Widzewem. Z tego to powodu wyciągnął wniosek, który sugeruje, że dr Włodzimierz Reczek — prezes PZPN — jest człowiekiem biednym i nie ma czym płacić im grać dla sławy i sympatii do Białego Orła, a prezes Fiata wręcz przeciwnie. Przykładem takiej różnicy była właśnie gra Zbigniewa Bońka.

Nie wiem, co Ryszard Niemiec robił podczas meczu Polski z Finlandią, ale wynika z jego wywodu prosty wniosek, że nikogo poza Zbigniewem Bońkiem na boisku nie widział. Gdyby było inaczej, to dostrzegłby, że tego dnia zle grało jedenastu młodzieńców z godłem państwowym na piersi. Dostrzegłby również, że inny polski międzynarodak Paweł Janas pomylił bramki i strzelił gola własnej drużynie, co dało remis Finom. Dostrzegłby również, że Finowie nie potrafili w ogóle tego dnia strzelić gola, Polakom szło równie fatalnie, za co całą winę zwałili na stan boiska. Zapominając — o czym już pisałem — że Finowie też grali na tym boisku i jakoś potrafili unieszkodliwić polskie niemrawe ataki.

W meczu z Widzewem Ryszard Niemiec już widział, że Zbigniew Boniek nie grał sam, ale że jeszcze było oprócz niego 10 mężczyzn. Ci mężczyźni chcieli i potrafili grać razem z nim. I to jest cała różnica. Rozumiem wartość pieniędzy, ale doceniam też umiejętności. Ani Wojciech Fibak razem z „kiepskimi tenisistami” nie zdobędzie Pucharu Davisa, ani Zbigniew Boniek ze zle grającą pozostałą dziesiątką nie wygra sam meczu. Po co robić ludziom wodę z mózgu? Panowie, przestańmy się oszukiwać!

Trzeba się na coś zdecydować. Albo, że nam międzynarodaki będą zjeżdżali do kraju i robili sport, a reszta będzie siedziała z założonymi rękoma i czekała na zgodę na wyjazd po mamone, albo zabronimy w ogóle wyjeżdżać, co jest równie głupim wyjściem. Jest jeszcze trzecie — moim zdaniem — jedynie rozsądne i jedynie do przyjęcia. Wziąć się do roboty. Brzmi to fatalnie. Wiem. Ale innej rady nie ma.

Za przykład podam drużynę olimpijską, która z Finami wygrała 4:0, drużynę której chcieli się grać i której murawa nie przeszkadzała. To znaczy, że mamy jeszcze chłopców, którzy i grać potrafia, i którym się chce grać. A drugi przykład to RTS Widzew, który potrafił oddać kilku najlepszych zawodników ze Zbigniewem Bońkiem na czele i mimo takiej straty, kiedy zdawało się, że drużyna załamie się, jak inne, na kilka lat, widzowiacy doszli do półfinału Pucharu Europy, co jest faktem. Wierzę, że ta drużyna pokaże jeszcze, co potrafi i na co ją stać. Ale w Widzewie nie oczekują na cud, tylko pracują. Czego innym też szczerze życzę.

Rzecz więc nie w tym, aby bronić ludziom robienia światowych karier, ale w tym, aby ich miejsce szybko zajmowali inni. Wtedy i światowców nie zabraknie nad Wisłą.

BOGDA MADE!

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwicinski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycy (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański, Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdlar (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy” al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefonny sekretariat i redaktor naczelny 632-44, sekretarz redakcji 680-99, publicysta 677-70. Redakcja nie zamawia reklam, nie zwraca zastrzeżenia sobie również prawo do skrótu informacji o warunkach prenumeraty udziela oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyłamy RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta test droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicze Spółdzielni Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch”, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod. 90-103, Łódź Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28, Nr indeksu 36762. Zam. 1173, L-2

Dokończenie ze strony 1

— Krystyna Prońko, z trudnym repertuarem, ale na jej występ przyjechało dużo wielbicieli, Lidia Stanisławska, prezentująca prawdziwy show estradowy, Elżbieta Adamiak i Andrzej Poniedziałki, śpiewający swoje „szare piosenki”, odbierane z dużym zainteresowaniem, Sławomir Plestrzeniewicz (iluzja) i Jarosław Zimowski (mim) zrobili prawdziwą furorę, Wiesław Golas (w świetnej formie) zaszerwował jeden z najlepszych programów, Jacek Skubikowski śpiewał i grał country, folk, Sławomir Kowalewski wystąpił z nowym rockowym repertuarem, Ewa Miodyńska wystąpiła w typowym programie kabaretowym, co w „Maximie” szczególnie dobrze się sprawdza, Bogusław Mec śpiewał z grupą „Familia”, Andrzej Rybiński potrafił nawiązać świetny kontakt z publicznością, Ewa Bem przekonała słuchaczy do standardów jazzowych, Krystyna Giżowska zrobiła prawdziwą furorę i na każdym występie bisowała 5-krotnie, Jan Stanisławski dał dużo radości w najweselszym programie, Elżbieta Poniatowska była pierwszą divą operetkową w „Maximie”, Kazimierz Kowalski dobrze zaprezentował swój mniej poważny repertuar, Jacek Zwoźniak był entuzjastycznie przyjęty przez młodzież, Elżbieta Mielczarek z zespołem miała swoich entuzjastów i antagonistów, Jerzy Rybiński umie się podobać, Hanna Banaszak miała tylko jeden występ, ale zgromadziła on jej najwierniejszych wielbicieli, Marianna Wróblewska (w sukni ze złotej siatki) raz jeszcze potwierdziła swoją klasę estradową i jazzową.

— Były jakieś przygody na koncertach tych gwiazd?

— Gdy grupa Cyganów przeszkadzała w występie Lidii Stanisławskiej, następnego dnia zjawia się królowa Cyganów i zostawia nam swój bilet wizytowy, prosząc o kontakt, gdyby Cyganie ponownie rozrabiali, ale kłopotów z Cyganami więcej nie było.

— Renomowani artyści lubią u was występować?

— Mam dowody, że tak, w postaci wpisów do księgi pamiątkowej. Np. Wiesław Golas napisał: „Grunt żebyśmy zdrowi byli w domu i w urzędzie. Grunt to zdrowie moi mili, reszta jakos będzie. Grunt żebyśmy razem z Wami dobre wino pili i byliście nas do „Maxima” znowu zaprosili”. Ewa Miodyńska uzupełniła: „Jednak można przełamać ziele tradycje nocnych lokali w Polsce, udało się to przemilnemu personelowi Klubu „Maxim”. Krystyna Giżowska dodała: „Czy to nie za wiele, dziękuję za współpracę i może do zobaczenia”.

— Ale nie wszystkie gwiazdy miały takie dobre samopoczucie, bo jedna z nich na kolanach (prawie) błagała mnie, aby w wywiadzie z nią nie wspominać ani słowa o jej występie w „Maximie”, bo traktowała go jako zło konieczne, a po każdym zejściu z estradki miała czerwone plamy na ciele ze wstydu, a to dlatego, że tak nisko upadła?

— Jesteśmy zaskoczeni i ciekawi kto to był?

— Obliczałem dyskrecję.

— Rozumiemy, swoją drogą ta gwiazda musiała się świetnie maskować.

— Kogo nie udało się wam zaprosić lub kto wam odmówił?

— Nie udało się zaprosić Elżbiety Wojnowskiej, której mąż Andrzej Ibis-Wróblewski oświadczył, że żona nie jest zainteresowana występami w „Maximie”. Nie możemy wciąż uzgodnić odpowiednich terminów z Anną Chodakowską, Haliną Frąckowiak, Urszula Sipińska może wystąpić tylko z zespołem. Chcielibyśmy zaprosić Marylę Rodowicz, Seweryna Krajewskiego, Ewę Wiśniewską, Piotra Fronczewskiego, Jana Kobuszewskiego, Barbarę Wrzesińską, Krystynę Sienkiewicz, Ewę Kukulską, Marię Jeżowską. Zza granicy: Helenę Vondrackową, Jiriego Korna i Josefa Lauffera.

— A co będzie naprawdę?

— Odkąd przeszliśmy na nowe godziny otwarcia, zmniejszyła się frekwencja i wpływy. Realizujemy jeszcze te umowy z gwiazdami, które były wcześniej zawarte. Obecnie nie stać nas już na gwiazdy. ZPR też działają w warunkach reformy. Na razie dokładamy do zapraszanych gwiazd, a nie zarabiamy na nich. Ludzie przychodzą teraz do „Maxima” okazjonalnie, z mniejszym nastawieniem na rozrywkę, bardziej na dobre jedzenie, bo to nadal serwujemy. Chyba zacięra się powoli różnica pomiędzy „Maximem” a resztą lokali.

— W czym przede wszystkim tkwi przyczyna tych kłopotów? — pytam RYSZARDA NOWAKOWSKIEGO.

— Mam tych kłopotów kilka: typu organizacyjnego, więc godziny otwarcia, co w praktyce oznacza likwidację „Maxima” w ciągu kilku tygodni. Jeżeli nawet lokal zostanie, to zmieni się w salon gier z barem, działalność artystyczna i dyskotekowa nie będą miały już sensu. Inny problem stanowi powstały mit „Maxima”, w którym jesteśmy czymś pośrednim pomiędzy kasynem gry a domem publicznym. Mówi się o nieprawdopodobnie wysokich cenach, a one wcale nie są wygórowane, i przy obecnych relacjach cenowych mają swoje uzasadnienie. Mam kłopoty ze sprzętem i parę innych, mniejszego wymiaru. Było założenie, że „Maxim” spłaci się w ciągu 1 — 2 lat i pewnie sprawdziłoby się, ale teraz...

— Podobno główny problem w waszych trudnościach stanowią decyzje, które „zastruwają”



Elżbieta Mielczarek

Foto: Maciej Nowakowski

Czy „Maximowi” grozi zamknięcie

życie lokatorom mieszkającym nad „Maximem”?

— Mieszczą się w ustalonym limicie. Pomiar, które zrobiliśmy w Instytucie Badań Środowiska stwierdziły, że hałas powodowany przez „Maxim”, mieści się w granicach dopuszczalnych przez polską normę. Mimo to robimy wszystko, aby zejść poniżej tej normy. Zleciliśmy więc wykonanie ekspertyzy fachowcom-akustykom na temat zmniejszenia poziomu naszego hałasu. Wychodzimy z założenia, że „Maxim” — „Maximem”, ale ludzie mieszkający nad nami muszą mieć spokój.

— Czyli są pewne nadzieje w walce o „Maxim”?

— Nadzieje zawsze są i my w to wierzymy, że w końcu dojdziemy do pogodzenia wspólnych interesów, przedłużymy działalność klubu do godziny drugiej w nocy i zapewnimy spokój lokatorom.

— A gdyby się nie udało?

— Zniknie z mapy Łodzi jedyny lokal tego typu o pewnych tradycjach — odpowiada ANDRZEJ MICHAŁSKI — które zaczynały już powstawać oraz możliwość obcowania z gwiazdami z odległości dwóch metrów, na żywo.

— Czyli przyszły do was rozczarowania?

— Odczuwamy brak satysfakcji z tego, że coś co było dobrze robione, może być zrobione tylko w części.



Bogusław Mec

Foto: KAW

— A tymczasem pisze się o was, że staliście się mordownią, do której zwykłym konsumentem trudno się dostać, a jeżeli już, to narażeni są na: pęknięcie zębra, uszkodzenie śledziony, w najlepszym wypadku spuchnięcie wargi. Kto więc teraz do was przyjdzie?

— Prowadzimy postępowanie wyjaśniające w tej sprawie — mówi RYSZARD NOWAKOWSKI. — Ale mordownią na pewno nie jesteśmy. Zresztą wszystko rozstrzygnie się niebawem. Po artykule w „Expressie Hustrowanym”, który ukazał się w czwartek, dopiero w piątek, w południe udało mi się dostać do tajemniczego dziennikarza o kryptonimie „KZ”. Była mi od niego potrzebna informacja o dacie opisanego incydentu w „Maximie”, co pozwoliło zgodnie z raportem ustalić kto obsługiwał lokal, kto pełnił służbę porządkową i ilu gości było w tym czasie na sali. Sprawdziłem, było 10 osób. Podejrzewamy, że prawdopodobnie była to szarpanina pomiędzy dwoma klientami, a nie naszym personelem. Gdyby jednak okazało się odwrotnie, tzn., że w awanturę był wmieszany personel, zastosuję natychmiastowe zwolnienie dyscyplinarne. Zdumiony jestem, że autor artykułu nie skontaktował się z kierownictwem „Maxima”, w celu uzyskania dodatkowych wyjaśnień także z drugiej strony. W każdym bądź razie artykuł ten szkaluje naszą opinię.

— Nie macie najlepszej opinii u dziennikarzy?

— Być może niektórzy z dziennikarzy prasy i Tv obrazili się na „Maxim”, ale muszą zrozumieć, że my szczególnie musimy dbać o zachowanie incognito naszych gości, co oni nie zawsze chcą zrozumieć. Przykładowo, w końcu listopada 1982 roku mieliśmy wizytę Polskiej Kroniki Filmowej, która kreciła o nas film. Uprowadziliśmy o tym fakcie gości i... w tym dniu frekwencja spadła o 50 procent, pomimo nadkompletu w dniu poprzednim i w następnych dniach. Mówi to chyba samo za siebie?

— Zastrzeżenia dotyczą też „bramkarzy”, którzy zamiast bronić konsumentów z powodzeniem ich odstrasza?

— Początkowo bramkarzami byli karatecy, czynni zawodnicy trenujący w łódzkich klubach. Zastosowaliśmy formę rotacji i obecnie naszą służbę porządkową stanowią: dwóch karateków i dwóch ludzi mających predyspozycje, aby pełnić te obowiązki, a nie są one łatwe. Zdarza się, że po zakończonej pracy „bramkarze” są bici, przychodzą później do pracy z podartymi ubraniami, pokrwawieni...

— Ale czy ta szczególna ochrona lokalu rzeczywiście jest potrzebna?

— Tak, dlatego, że zdarzają się klienci, tzw. typowi Polacy, którzy wypiją alkohol i mówią: „Kto mi tu podskoczy”? To z tego względu musimy mieć wewnętrzną ochronę, wzywamy też milicję do co bardziej krewkich gości. Wszystko po to, aby pozostali goście mogli się w spokoju bawić.

— Kto obecnie przychodzi do „Maxima”?

— Bardzo młodzi ludzie, chociaż poprzednio nie brakowało starszej młodzieży. W pewnym okresie zaczęli do nas przychodzić obcokrajowcy, z delegacji zagranicznych, stwierdzając, że czują się tu tak, jak u siebie w domu. Nasz lokal bardzo im odpowiadał. Kiedyś telefonował do nas robotnik, który powiedział, że choć u nas jest drogo, to warto jest popracować, aby przyjść do „Maxima” raz w miesiącu i dobrze się zabawić.

— Podobno nie wpuszczacie już Arabów?

— Nie wpuszczamy, bo zdarzają się wśród nich ludzie, którzy uważają, że skoro mają już pieniądze, mogą się zachowywać u nas jak chcą. Ale bywa u nas także trzech Arabów bardzo kulturalnych, których witamy z przyjemnością.

— Kogo ze swoich stałych, dobrych klientów straciliście?

— Przede wszystkim obcokrajowców i ludzi, którzy chcieli w kulturalny sposób oglądać nasze gwiazdy, cały program artystyczny i dobrze się zabawić.

— Jaka gwiazda obecnie śpiewa w „Maximie”?

— Przykro mi, ale obecnie nikt, bo nas na to nie stać — wtrąca ANDRZEJ MICHAŁSKI.

— Ale pozostaje dobra kuchnia i stary mit o... ekskluzywnym, straszonym „Maximie”?

— Ludzimy się, że nie będzie tak źle. Jeżeli powrócimy do dawnych godzin pracy, będą gwiazdy i dotychczasowy, nocny charakter naszego lokalu.

— A póki co?

— Ratujemy ten okręt jak kto może, nikt z niego nie odszedł, wszyscy czekamy i mamy nadzieję.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

NR 20 (1311) XXVI 14 MAJA 1983 R.